POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 9-go listopada 1940r.*** **Rok II. Nr. 35**

TAK MUSIAŁO BYĆ

Artykuł niniejszy wyszedł z pod pióra wybitnego i znanego publicysty. Ze zrozumiałych względów nie może on ujawnić swego nazwiska.

NACH OSTLAND WOLLEN WIR REITEN

Mieliśmy dwie drogi do wyboru, bo w dwóch kierunkach odbywało się "kuszenie szatana."

Pierwsza—to wspólna z Hitlerem wyprawa na Moskwę. Hitler znał niechęć Polaków do bolszewizmu, wiedział jakim wrogiem Moskali był Piłsudski, więc jego epigonom postawił przed oczy wizję wielkiego zdobycznego pochodu na Wschód. Wspomniał o tym w swej ostatniej mowie przed Sejmem—płk. Beck, choć nieśmiało, bo wbrew zwyczajom dyplomatycznym, ale dostatecznie jasno.

Nie wkroczyła Polska na tę drogę. Miała w pamięci ostrzeżenia Dmowskiego. Ale nie potrzeba nawet było jego ostrzeżeń, aby zrozumieć, jakie miało by to dla nas skutki; wygrana Hitlera była bardzo prawdopodobna. Wtedy stracilibyśmy Pomorze, Poznańskie i Śląsk, a w nagrodę za to może dostalibyśmy wschodnie połacie ziem białoruskich i ukraińskich. Odepchnięci od Zachodu, oddani w wieczne wasalstwo niemieckie, stalibyśmy się na pół azjatyckim państwem, na ziemiach etnicznie co najwyżej nawpół polskich, przy czym ziemie te byłyby zawsze polami walk między Rosją a Niemcami w ich wojnach.

Gdyby zaś Rosja zwyciężyła—co jest mniej prawdopodobne—czekało nas wcielenie do Z.S.S.R., a więc zupełna niewola i stalibyśmy się już nie pół, ale zupełnie azjatycką częścią wielkiego stopu bolszewickiego.

To rozumiał nie tylko Dmowski, ale to sobie uświadamiał lub przynajmniej instynktownie odczuwał każdy Polak. Na tę drogę Polacy wstąpić nie mogli.

To kuszenie nie minęło. Można być pewnym, że "Father Odo" czyli Fürst von Würtenberg, który jedzie teraz z misją od Hitlera do Ameryki—będzie tam tłumaczył, że Führer chciał i chce dać Polakom obszary na Wschodzie znacznie większe od zachodnich, które zawsze były niemieckie, a od Niemiec były oderwane w traktacie wersalskim, bo przecież nie będzie mówił, że to kolebka państwa polskiego, że Poznań jest najbardziej polskim miastem, że około sto pięćdziesiąt lat temu te ziemie zrabowane były Polsce i aby je obecnie choć trochę na niemiecko pokostować — trzeba rozstrzeliwać, więzić i wywozić setki tysięcy Polaków.

Z tą propagandą w Ameryce "Ojca Odona" liczyć się należy. Łatwo z nią walczyć, bo jest kłamliwa, a przy tym cele nasze w tej sprawie są zgodne z celami państw zachodnich.

Generał Hoffmann, niemiecki kontrahent pokoju brzeskiego pisał o straconych sposobnościach w wojnie 1914 r. Jako jedną z najważniejszych uważał to, że Niemcy nie ujarzmili najpierw Rosji i nie rzucili się na nią, aby sobie zapewnić chleb i surowce do wojny na Zachodzie. Ten sam pogląd znalazłem w jednym z dzienników londyńskich, który naiwnie wyjaśniał Hitlerowi, dlaczego on robi takie głupstwo i idzie na Zachód, kiedy znacznie lepiej wyszedłby, gdyby się zwrócił na Wschód.

Wyobraźmy sobie, że Hitlerowi udało się zdobyć klucz do tego śpichrza wszystkich bogactw ziemi, jakim jest Rosja. Gdyby potem uderzył na Zachód "drżę na myśl o tym. . ."

Odsuwając od nas pokusę zgubną dla nas—odsunęliśmy groźne niebezpieczeństwo od naszych przyjaciół.

WACHT AM RHEIN

Kiedy Hitler ujrzał, że w pochodzie na wschód przeszkadza mu polska bariera, zwrócił swe chciwe oczy za łupem na Zachodzie. Nie można jednak, było zacząć wojny z Francją, mając za plecyma jej sojusznika. Do czynnej pomocy przeciw Francji Polskę namówić—nie można było się łudzić. Więc trzeba ją obezwładnić. A w pierwszym rzędzie oddalić ją od morza, odbierając Gdańsk i autostradą odcinając brzeg morski Pomorza. A potem dalej jak to napisane w "Mein Kampf"—"można liczyć na to, że naród, który stracił wszelką siłę charakteru, a tak bywa z narodem, który dobrowolnie podda się pogróżkom przeciwnika, nie znajdzie w żadnym z późniejszych aktów ucisku narzucanych jeden po drugim, dostatecznych powodów do zbrojnego oporu." Gdybyśmy się byli poddali tym żądaniom Hitlera, potem było by wszystko tak samo, jak było po Monachium—dalsze żądania. To byłoby z nami. A co byłoby z naszymi sojusznikami? Już odpowiedział na to generał Ironside z tą uczciwą szczerością, jaka cechuje Anglika: "Drżę na myśl o tym, co było by z nami, gdyby Hitler uderzył na nas w czerwcu."

Polska jednak znała Niemcy lepiej, niż cały świat. Nie potrzeba było czytać "Mein Kampf"—ani nawet nie potrzeba było pamiętać Monachium, wystarczyło znać charakter niemiecki i drogi jego podbojów, aby powiedzieć: Nie! Nie pójdziemy na żadne ustępstwa, bo nie o nie chodzi, ale o poddanie się całkowite, zupełne, do którego wstępem będzie najmniejsze ustępstwo.

Dla Niemców zaś każde ustępstwo to słabość, która zwiększa ich chciwość i rodzi pogardę dla przeciwnika. To kosztowało nas morze krwi, ale również poszczerbiliśmy Niemców tak, że potrzebowali długich miesięcy do reorganizacji, a w ciągu tego czasu nasi sojusznicy nieco przejrzeli i zaczęli się powoli przygotowywać do wojny. Zrozumieli, że Niemcom nie chodzi o Gdańsk ani o Polskę nawet, ale o coś więcej, o panowanie nad światem a przynajmniej nad Europą, a więc i nad nimi.

I nie pomylili się. Przygotowania Hitlera do wojny były nie na skalę polską, ale na europejską. Pochód niemiecki zatrzymał się u brzegów Anglii. Zaledwie u brzegów Anglii. Tak był potężny. Nie może więc być wątpliwości dla nikogo, że Polska opóźniła ten pochód i uniemożliwiła dalsze błyskawiczne zwycięstwa Hitlera. Tak więc i jedno i drugie "kuszenie szatana" nie udało się, a choć koszta tego zapłaciła na razie Polska, przyszłość będzie musiała o tym pamiętać, że korzyść z tego odnieśli nasi sojusznicy.

MONACHIUM CZY TERMOPILE

Było to w połowie czerwca. Francuskie wojska cofały się w popłochu. To już nie był odwrót, to była ucieczka. Nikt nie miał wątpliwości co do wyniku kampanii francuskiej.

Nasi żołnierze wiedzieli o tym także. Ale gdy ich dowództwo francuskie błagało w imię honoru żołnierskiego, aby osłaniali odwrót Francuzów zgodzili się i odchodzili z frontu ostatni. Tak, jak szli w roku 1813 w odwrocie z pod Moskwy i tak jak ginęli—ostatni w bitwie pod Lipskiem.

Ustępując, krok za krokiem weszli raz do jakiej francuskiej oberży, gdzie zastali oberżystę pogrążonego w rozpaczy: "I pocóż nam ta wojna—jęczał—tak nam przecież dobrze było, tak się żyło spokojnie i zarabiało."

A tak jak oberżysta, myślał niejeden Monachijczyk. Pocóż ci Polacy biją się o niemiecki Gdańsk, czemuż nie odstąpili tego "korytarza"; jak można życie poświęcać, kiedy można "żyć spokojnie i zarabiać."

Francuski oberżysta, lub niejeden Monachijczyk nie mógł zrozumieć tych Polaków, którzy stracili nie tylko swoje mienie, ale i swoich najbliższych—zamordowanych, skatowanych lub wywiezionych w zimie w otwartych wagonach, aby marli w męce po drodze, nie mógł zrozumieć, jak mogli oni tyle poświęcić, skoro uwolnić się mogli od tego—poddaniem się żądaniu mocniejszego, i za tę cenę "żyć spokojnie i zarabiać."

Ten pogląd na życie nie będzie nigdy poglądem polskim.

Ci, którzy, ideał życia widzą w dobrobycie choć pozornie żyją na szczytach cywilizacji, otoczeni tymi wszystkimi wygodami i komfortem, jaki daje dobrobyt, jeżdżący wspaniałymi limuzynami do wspaniałych pałaców, gdzie ich czeka wykwint urządzeń i towarzystwo pięknie ubrane i pięknie mówiące—ci nie wiele się wznieśli ponad życie zwierzęce. Życie dla nich jest najcenniejszym dobrem — więc stracić je albo stracić to, co im to życie daje, to stracić wszystko.

Tak myśleli neutralni, lecz nie wyszli na tym dobrze. Ale tak nie myślała Polska.

Polska jest krajem chrześcijańskim. Jej religijność jest świeższą od krajów Zachodu o setki lat, więc ma w sobie gorliwość świeżo nawróconego. Tym bardziej, że dwie trzecie w niej stanowią chłopi — więc warstwa najmłodsza, o religijności jeszcze świeższej. Głupstwem jest mówić o powierzchowności religii naszego chłopa. Stosunek jego do Boga jest szczery i uczciwy. Nie modli się jak Włoch, idący kraść—do swego patrona, aby mu pomógł, a choć czasem natury nie przemoże i zrobi to co i Włoch, robi to bez patrona, bo wie, co jest złe, a co dobre. W kościele za to jest pełen oddania i powagi. Tych wzlotów duszy nie można przenieść na stałe na życie codzienne, ale zdolność do nich świadczy o głębi religijności naszego chłopa, i przeważnej części niechłopów.

Wskutek tego życie polskie ma w sobie szacunek dla dóbr nieziemskich. I tam gdzie chodzi o wolność i honor nie ma u nas przesadnego szacunku dla życia i jego dóbr.

Poniżenie—niewola, to gwałt zadany godności człowieka, stworzonego na podobieństwo boże. Dlatego na niewolę zgody nigdy być nie może, dopóki u nas będzie ideał chrześcijańskiego poszanowania człowieka i jego duchowych dóbr.

A prócz tego Polak kocha ziemię swoją inaczej, niż inne narody. Długie tysiące lat rolniczego życia związało go z tą ziemią mistycznymi więzami. Dla nas ziemia, to nie ideał osiemnastu kwintali zboża z morga, które Hitler wyprodukować obiecuje, to obraz, malowany "zbożem rozmaitym" — to muzyka, którą grają, stawy "jak harfy eolskie," to płacz wieśniaczki w "naszej poczciwej brzezinie," to ziemia, do której żołnierze imć Pana Paska, jadąc na zamorskie wyprawy wzdychali: "Ziemio moja rodzinna, czy ja cię kiedy zobaczę"—jak to czynili Wiśniowiewczyki opuszczając Zadnieprze, to ziemia, na którą chłop rzuca siewne ziarno z odkrytą głową, jakby to była modlitwa i tej ziemi nie chce oddać, bo każda jej grudka przesiąknięta krwią tych, co jej bronili, co na niej rodzili się, z niej żyli i do niej po życia ciężkim trudzie do snu wiecznego się kładli.

Dlatego Polak nie chce się zgodzić ani na niewolę, choćby w złotej klatce, ani na odebranie swej ziemi, choćby go kuszono tym, że mu materialnie będzie lepiej.

I mając do wyboru Monachium—woleliśmy Termopile.

Zamiast wysłać Hachę do Berlina—wysłaliśmy tysiące naszej młodzieży do śmiertelnej walki z Berlinem.

NIEWYPEŁNIONE OBOWIĄZKI

Ale posłaliśmy ją z gołymi rękami na tanki. Sprzedawaliśmy armaty przeciwlotnicze i samoloty innym, aby Niemcy mogli bezkarnie ponad głowami naszymi latać i mordować bez oporu bezbronnych. Naród i zbrojne jego ramię—żołnierz był ożywiony takim zapałem do walki i taką gotowością do poświęceń, że trudno w dziejach o drugi taki przykład. Żołnierz, pod gradem bomb rzucał się z gołymi rękami na tanki i ginął od bomb i armat tysiącami. A nasze armaty stały na ulicach Londynu, a nasze samoloty latały w Bułgarii.

Popełniono na narodzie niesłychane oszustwo, utrzymując go w błędzie co do gotowości bojowej. Zbrodniarze i głupcy bawili się we wszystko inne, tylko nie w przygotowanie do wojny. Obrońcy ich—przeważnie również współwinni—mówią, że i tak na nic to by się nie zdało, gdyż nie mogliśmy się oprzeć nawale niemieckiej. Obrona ta nie jest przekonywująca. Mogliśmy przegrać—mogliśmy wygrać. Mogła Rosja wystąpić przeciw nam, ale mogła i nie. Mogliśmy Niemcy nawet przegrywając tak osłabić, że wojna byłaby nierozegrana. I wiele innych "może." Nikt nie rozstrzygnie dzisiaj, która z tych możliwości nastąpiłaby. Jedno jest pewne, że bylibyśmy zadali Niemcom większe straty i tym samym już wynik wojny byłby inny. Musiały by zaś te straty być poważne, gdyby nasze uzbrojenie było odpowiednie do zapału i ofiarności narodu i żołnierza.

Ale jeszcze nie o to tu chodzi. Zostawmy to co być mogło. Zatrzymajmy się na tym, co było i co jest.

Było straszliwe, zbrodnicze niespełnienie obowiązków ze strony sfery rządzącej i pozostawiło we wszystkich nas świadomość niewykorzystanych sił narodu.

Te dwie rzeczy będą przedmiotem oskarżenia ze strony tych, co za winy niepopełnione cierpią.

I musi być sąd nad tymi, co zbrodnią i głupotą zawinili i musi być taka kara, aby nigdy na przyszłość w Polsce nikt nie brał na siebie obowiązku, któremu nie podoła, albo którego nie wypełnił, choć podołać mógł.

Nie potrzebujemy obawiać się zarzutów naszych sojuszników, że winę klęski sobie przypisujemy. Dzisiaj widoczne są przyczyny klęski—nie tylko naszej: Tę winę, którą sobie przypisujemy—brak przygotowania do wojny—popełniły rządy i gdzie indziej. Tylko że tam rządy były zgodne z narodem—i rządy wojny nie chciały i narody o niej myśleć nie chciały. Winy były wspólne—nie ma odpowiedzialności. Ale my musimy wołać, że naród był zdolny do większych wysiłków, że w narodzie naszym są większe możliwości, niż je nawet wojna wykazała, tylko naród był przez sferę rządzącą oszukany.

Gdy w przyszłej Polsce będzie rządzić naród a zapędy dyktatorskie i totalne będą wytępione, świat zobaczy prawdziwe oblicze Polski.

Z tym rządem, jaki mieliśmy inaczej być nie mogło.

Musieliśmy paść ofiarą oszustwa.

Z TRUDU NASZEGO I ZNOJU. . .

Za winy niepopełnione—zwaliło się na niewinnych morze cierpień.

Cały naród trwa w męce. Nie ma tu żadnej hierarchii i nie należy jej szukać w tym, kto więcej cierpi. To jest często rzeczą przypadku, że na kogoś nieszczęście dopiero czeka, podczas gdy innych już dotknęło. Nie należy szukać hierarchii w bohaterstwie. Różne są jego rodzaje. Czasem są to "nie dzieła waleczne, ale czyny ciche, użyteczne i cierpienia, których nikt. . . ."

Zrównani jesteśmy wszyscy, choć pozornie będą chwilowe różnice, ale je każda chwila zmienić może. Pamiętajmy więc nie o różnicach, ale o wspólnej ofierze, którą musimy opłacić błędy i winy i cudze i swoje.

Niech nikt nie sądzi, że jego męka jest daremną.

Wszystkie nasze nieszczęścia i krew i łzy i smutek i oczekiwanie przyszłości, dłużące się w wieczność zwłaszcza u tych co zmuszeni są do bezczynności—to wszystko nie minie bez pożytku. Na to powoływać się będziemy, uzasadniając nasze krzywdy przed światem, to nam da prawo do żądania sprawiedliwości i odwetu, to będzie wkładem naszym w odbudowę przyszłej Polski, wolnej od tych błędów, za które cierpimy.

Gdybyśmy upadli pod ciężarem zbrodni na nas spełnionej—Niemcy byliby zwycięzcami.

Ale dopóki mamy wolę nie poddania się i wolę walki—Niemcy nie zwyciężyli.

Nie osłabiajmy tej woli myślami o smutnej przeszłości, ani o mrocznej przyszłości.

Żyjmy pracą—jeśli innej nie ma—to pracą nad sobą. Ta może najpotrzebniejsza.

I wierzmy, że "z trudu naszego i znoju Polska powstanie. . ."

St. Sz.

Nowa faza wojny i nowe zagadnienia

PLAN UKUTY NA BRENNERZE

Niewątpliwie dla przyszłego historyka wojny, okres jesienny r.b. stanowić będzie początek nowej fazy wojny. Trudno na razie dokładnie ustalić jej początek, ale można przyjąć, że zapewne już w czasie spotkania dyktatorów na historycznym Brennerze Hitler, zdając sobie niewątpliwie sprawę z nierealności planów inwazji i "Blitzkriegu" przeciwko W. Brytanii, omówił z Mussolinim zarysy nowego planu wojny przeciwko niej.

Plan ten, jeżeli można go ująć w paru zdaniach miałby na celu opanowanie Suezu i całego wybrzeża Morza Śródziemnego, w następstwie czego sytuacja brytyjskiej floty wojennej pozbawionej baz pomimo całej jej przewagi na morzu, stałaby się nie do utrzymania. Opanowanie Suezu, oznacza dostęp do naftociągu w Haiffie a następnie do pól naftowych w Mosulu. . . .

Ten piękny plan, którego urzeczywistnienie wymaga uprzednio szeregu posunięć zarówno politycznych, jak i wojskowych, nastręcza od samego początku szereg zagadnień, na które odpowiedź będą mogły dać jedynie fakty. . . .

PIERWSZE KROKI

Jest na razie rzeczą bezsporną, że koncentracja wojsk niemieckich w Rumunii i atak Włoch na Grecję jest wstępem do realizacji tego planu. Jest również rzeczą jasną, że aczkolwiek, jak stwierdza to oficjalna agencja sowiecka Tass, wejście wojsk niemieckich do Rumunii nie było uprzednio uzgodnione z Sowietami, nie doprowadzi to do otwartego zatargu pomiędzy Sowietami a Rzeszą. Niewątpliwie ambasador Rzeszy w Moskwie oraz specjalna misja niemiecka, która w tych dniach wyjechała do Moskwy, usiłują uspokoić obawy Stalina co do dalszych zamiarów niemieckich. Ruchy wojsk sowieckich w kierunku ujścia Dunaju i obsadzenie tego ujścia dalekie są jeszcze od przerodzenia się nawet w starcie graniczne. Są one dowodem wzmożonej czujności Sowietów w kierunku Dardaneli. Próba opanowania Dardaneli przez Niemców—tradycyjnego celu wszystkich imperjalizmów rosyjskich—może tym razem doprowadzić do konfliktu dotychczasowych wspólników.

W danej chwili natomiast powstają następujące zagadnienia: czy Niemcy po skoncentrowaniu dostatecznych sił w Rumunii uderzą, względnie zmuszą do uległości Jugosławię . . . lub też skierują swój wysiłek na Turcję a przez Turcję na Syrię i Palestynę, oraz jaką rolę odegra we wszystkich tych posunięciach i wydarzeniach Rosja Sowiecka . . . i Bułgaria? . . .

PRÓG BUŁGARSKI

Jeżeli idzie o Bułgarię, która leży na drodze do każdego dalszego ruchu niemieckiego na Bałkanach, to należy raczej liczyć się z tym, że Bułgarja jeżeli nie formalnie jako nowy sojusznik, to w każdym razie moralnie i materialnie stanie po stronie Niemiec. Sukcesy Hitlera umocniły poważnie mocną klikę wojskową, wśród której zawsze silne były sympatie proniemieckie oraz zdecydowana niechęć do Sowietów, które miały wpływy głównie w szerokich masach chłopskich. W niezwykle trudnej sytuacji znajdzie się popularny w szerokich masach wysoce liberalny król Borys, który zapewne będzie chciał uniknąć błędów króla Ferdynanda, który w czasie wojny światowej postawił wszystko na kartę niemiecką (wedle doniesień prasowych miał on rzekomo przybyć już do Bułgarii . . .).

CZEGO "OŚ" SZUKA W GRECJI

Na podstawie znajomości metod niemieckiej strategii i polityki działającej stale wedle zasady: "beschränkte Ziele" (ograniczone cele), nie ulegało wątpliwości, że Hitler uzgodnił swój wysiłek z Mussolinim na jeden cel kolejno: Grecję, Jugosławię lub Turcję—tymbardziej, że państwa te nie są powiązane że sobą żadnym sojuszem militarnym, a ponadto wszystkie te państwa mają spory graniczne z Bułgarią. . . . Biorąc pod uwagę drugą zasadę strategji niemieckiej—działania po linji najmniejszego oporu—można było wysunąć hipotezę, że najbardziej prawdobodobnym kierunkiem najbliższego nacisku politycznego lub wojskowego będzie—Grecja. . . . Wojna włosko-grecka to potwierdziła.

Ewentualne opanowanie Grecji dało by pewne korzyści partnerom osi: nie mówiąc już o pewnym efekcie natury moralnej, zapewnić mogło by podsunięcie niemieckich baz lotniczych do Palestyny i Egiptu, spowodowałoby następnie zupełne otoczenie Jugosławii a wreszcie powiększyłoby zagrożenie Turcji; działanie przeciwko Grecji nie zagraża bezpośrednio interesom Sowietów, których wzrok skierowany jest przede wszystkim w stronę Dardaneli a następnie moralnie lub prestiżowo w stronę Jugosławii.

OKRĄŻANIE JUGOSŁAWII

Sytuacja Jugosławii w tym wypadku byłaby podobna do sytuacji, w jakiej znalazła się Szwecja po zajęciu Norwegii. Podobnie jak Szwecja, skrupulatnie przestrzegała swojej neutralności w czasie kampanii w Norwegii, Jugosławia, nie zaatakowana bezpośrednio przez oś, zdecydowała się zachować neutralność. Niewiadoma jest postawa Turcji, która wprawdzie wzmocniła ilość swoich wojsk w Tracji Wschodniej; postawa jej będzie uzależnioną od postawy Rosji, która jeszcze nigdy nie była tak zagadkowa jak obecnie.

W każdym razie ewentualny kierunek nacisku niemieckiego na Turcję wydaje się najmniej prawdopodobny a to ze względu na to, że oddala Niemcy od ich właściwego celu—Suezu, a następnie wszelkie działania przeciwko Turcji wysuwają ponownie sprawę Dardaneli; zagrożenie Dardaneli może najprędzej doprowadzić do scementowania wspólnej akcji Turcji i Sowietów jednakowo zainteresowanych w utrzymaniu stanu obecnego.

SYTUACJA TURCJI

Stosunki sowiecko-tureckie są na razie dalekie jeszcze od możliwości rozmów na temat współpracy militarnej. Zaszkodziła im znacznie niezręczność dyplomacji francuskiej, a w szczególności niedyskretne raporty b. ambasadora Francji w Ankarze, Massigli, na temat ewentualnego bombardowania Baku. Raporty te znalezione przez Niemców w tajnym archiwum Quai d'Orsay i ogłoszone oczywiście, spowodowały poważne oziębienie stosunków sowiecko-tureckich oraz sowiecko-angielskich.

Turcja na razie nie może być pewna, czy przypadkowo Sowiety w ostatniej chwili nie pójdą na kuszące propozycje Ribbentroppa wspólnego uderzenia na Turcję: Sowiety—przez Kaukaz, Niemcy—przez Bosfor i Dardanele. . . . Niewątpliwie w targach o ku[illegible] Sowietów, o wiele więcej [illegible] obiecują—z cudzego. . . . Niemcy, aniżeli ambasador W. Brytanii lub St. Zjednoczonych.

Na szczęście angielska opinia publiczna zaczyna co raz mniej mieć złudzeń, co do skłonności Stalina do wiązania się z W. Brytanią; ostatnie pogłoski o mającym dojść do skutku sowiecko-japońskim pakcie o nieagresji, rozwiewają resztki złudzeń co do stworzenia bloku: Chiny-Sowiety-St. Zjednoczone-W. Brytania. . . .

DALSZE ETAPY

Dalsze etapy działań osi w walce o Suez nawet po złamaniu Grecji, byłyby już o wiele tru[illegible]niejsze: samo współdziałanie [illegible]nictwa niemieckiego działającego z nowych baz bałkańskich będzie zbyt małą pomocą dla armii Grazianiego w Egipcie; zagrożenie natomiast tyłów armii angielskiej w Egipcie przez wojska niemieckie działające z Syrii w kierunku na Palestynę mogłoby być nieco groźniejsze.

Ten punkt widzenia został też wyrażony przez wybitnego specjalistę od spraw Bliskiego Wschodu, w książce, która ukazała się po wybuchu wojny "Kraftfeld und Arabien" napisanej przez dr. Tzirschnera, b. szefa misji turecko-niemieckiej.

Opanowanie Syrii rządzonej przez ludzi Vichy nie wydaje się niemożliwe i to nawet w razie ewentualnego oporu, który byłby niezmiernie anemiczy . . . dokonane to może być dwoma drogami: lądem przez Turcję, a więc w wyniku wojny z Turcją, czego Niemcy na razie pragną uniknąć—lub w drodze desantów powietrznych i morskich.

Prowadząc dalej te zupełnie prawdobodobne rozważania, należało by ponownie rozważyć sprawę, jaką byłaby postawa Turcji w razie zajęcia Syrji przez Niemcy. . . . Odpowiedź znowu będzie zależna od Rosji.

BITWA O EGIPT—BITWA O IMPERIUM BRYTYJSKIE

Jeden z najwybitniejszych publicystów angielskich Garvin, nazwał rozpoczynającą fazę wojny—bitwą o Egipt—nie można z nim się nie zgodzić. Jeżeli weźmiemy pod uwagę zdanie jednego z wybitniejszych pisarzy wojskowych feldmarszałka lorda Birdwooda, że Egipt jest kluczem do bram Imperium, to zrozumiemy jeszcze lepiej oświadczenie premiera Churchilla o poważnych posiłkach angielskich dla armii na Bliskim Wschodzie oraz powód nagłej wizyty ministra wojny Edena w Egipcie. . . .

Eugeniusz Hinterhoff

Piekny przykład

Józef Iwanicki marynarz flotylli handlowej, dał piękny przykład. Swoje oszczędności przekazał na F.O.N.—na potrzeby wojska. Naczelny Wódz uznał ten szlachetny odruch i wysłał ofiarodawcy następujące pismo:

"Pan Józef Iwanicki
marynarz

Potwierdzając odbiór £25 0 0 złożonych na potrzeby wojska, wyrażam Panu moje podziękowanie.

Dar ten, świadczy nie tylko o głębokim zrozumieniu obowiązków obywatelskich, ale jest dowodem, iż marynarze polskiej flotylli handlowej nie ustają w niesieniu pomocy walczącym.

NACZELNY WÓDZ
(—) Sikorski gen. dyw.
MINISTER SPRAW WOJSKOWYCH

Inny styl wojny

Największą niespodzianką tej wojny jest—jej inność. Wyobraźnia ludzka ma niebezpieczną skłonność do wnioskowania o rzeczach na podstawie doświadczeń z wczoraj. Metoda ta niezawsze daje odpowiednie wyniki. W dziejach ludzkich mamy do czynienia z ciekawymi przeskokami, które sprawiają, że metody używane dzisiaj bliższe są sposobów z przedwczoraj, aniżeli z wczoraj.

I tak się stało, że wojna obecna niewiele przypomina wojnę światową ale raczej wojny napoleońskie. W r. 1914 wojna nabrała szybko charakteru ogólnego, wciągnęła narody od Tokio po Pireneje i Kapsztat, potem zagarnęła Włochy i wreszcie Stany Zj. Była w tamtej wojnie wyraźna dążność do rozprzestrzeniania się, logiczne i powolne narastanie. Tamta wojna miała charakter pożaru, którego Rzesza nie potrafiła zlokalizować. W tej wojnie lokalizowanie pożaru udaje się dotychczas Rzeszy. Państwa Zachodu nie potrafiły powtórzyć manewru wojny światowej, który polegał właśnie na rozszerzaniu się pożaru i na zmuszaniu Niemców do walczenia na największej ilości frontów.

Niemcy zrozumiały dobrze, że nie potrafią trzymać wszystkich frontów. Wojna błyskawiczna, którą Rzesza wprowadziła w życie dlatego właśnie, że idealnie zgadza się z typem wojny, *na jaką Niemcy stać*, jest niczym innym, jak kolejnym porażaniem ośrodków oporu, jak rozbijaniem wielkiej bryły na mniejsze kawałki. W ten sposób wojna obecna nie może się zmienić ani rusz *w wojnę powszechną*.

W wojnie światowej front *wschodni* zajmował Rzeszę przez trzy lata. W tej wojnie uderzenie na Polskę zawisło w próżni. Zlikwidowano wschodni front w ciągu kilku tygodni. Sprzymierzeni nie uczynili niczego, ażeby podtrzymać w tej czy innej formie front wschodni; brak pogotowia sprawił, że na Bałkanach nie można było podjąć działań, któreby stanowiły rodzaj dywersji dla armii niemieckiej, a równocześnie pomieszałyby szyki porozumieniu niemiecko—sowieckiemu.

Druga możliwość rozpalenia się pożaru na większą skalę nadarzyła się w okresie kampanii fińskiej. Plany sojuszników nie dojrzały. Później, kampania norweska nie stała się hasłem do wielkiej akcji na Północy. Rzesza ugasiła pożar szybko, Szwecja została sparaliżowana, wojna nie przeniosła się na Bałtyk.

Siła uderzenia niemieckiego na Zachodzie w maju b.r. sprawiła, że wszelka myśl o rozszerzeniu operacyj na Włochy czy Hiszpanię odpadły jako nierealne. Pożar na Zachodzie wypalił się niesłychanie szybko. Nie przeniósł się do Imperium kolonjalnego Francji. Afryka została "spacyfikowana" aż do chwili, gdy Italia podjęła działania w Somali a potem w Egipcie.

Istnieje dzisiaj jeszcze możliwość akcji na Bałkanach i na Bliskim Wschodzie. Wprawdzie Rumunia poddała się, Bułgaria jest na najlepszej drodze do przyłączenia się do bloku niemiecko-włoskiego. Walczy za to mała Grecja. Pozostaje na placu Turcja (znak zapytania przy niej stanowi stanowisko Rosji, które jest najważniejszym momentem dla Turcji, a które dalej jest nie wyjaśnione).

Czy rozpali się wojna w Afryce? Tutaj znowu fakt odpadnięcia Imperjum francuskiego z walki przekreśla wiele rachub. Gdyby było inaczej, blok afrykański stanąłby w płomieniach, zgniecenie Libii i Abisynii byłoby zadaniem zupełnie możliwym. W tej chwili w Afryce nie ma nadmiaru sił zbrojnych po stronie Anglii, a lokalizacja pożaru odbyła się już przez zajęcie Somali brytyjskiego.

Rzesza niemiecka czuwa pilnie nad tym, ażeby wojna obecna nie przyjęła ani na chwilę groźnego dla niej charakteru: groźny staje się on w chwili, gdy rodzi się możliwość *rozszerzenia się pożaru.* Dlatego polityka niemiecka robi niebywałe wysiłki, ażeby *Stany Zjd. pozostały poza obrębem wojny* i dlatego chce wytłomaczyć Waszyngtonowi, że "porządek panuje w Europie" i że wszystkie sprawy ureguluje ta Europa między sobą.

Wejście Stanów Zjd. do wojny jest tym właśnie czynnikiem, którył *przekreślił zupełnie rachuby Niemiec. Dopiero wejście Stanów Zjd. tworzy warunki dla wojny powszechnej, światowej.* Wtedy dopiero Rzesza staje w obliczu grozy tego, czego uniknąć chciała: wojny na wielu frontach akcji długiej, męczącej, wyczerpującej.

W rękach Stanów Zjd. leży zatem klucz sytuacji w większej mierze, aniżeli w wojnie poprzedniej. Wojna tamta była bez Ameryki wojną światową, skoro Japonia była po stronie aliantów i skoro Afryka ogarnięta była pożarem w posiadłościach afrykańskich Rzeszy i skoro Rosja była w wojnie. Udział Ameryki tworzy z wojny obecnej, niebezpiecznie kawałkowanej, wojnę na skalę światową, wojnę, która dla Niemiec staje się *z miejsca* czymś groźnym. Wtedy bowiem plan niemiecki, polegający na stopniowym paraliżowaniu oporu, podbijaniu na raty, osaczaniu silniejszego, wykańczaniu przed nadejściem pomocy—staje po raz pierwszy pod znakiem zapytania.

Dlatego to dla zwycięstwa sprawy sprzymierzonych udział USA w wojnie jest nie tylko rzeczą najbardziej pożądaną, ale wręcz *konieczną*.

Zbigniew Grabowski

GRECJA WALCZĄCA

"MALEŃSTWO," KTÓREGO NIKT NIE PRZEWYŻSZYŁ

"To to jest Partenon, to maleństwo (*cette petite chose*)"— wykrzyknął jeden z pisarzy francuskich, gdy stanął na Akropolu.

Tak, Partenon jest niewielki, nie tylko, gdy go się porówna z katedrami gotyckimi, ale nawet z świątyniami cesarskiego Rzymu, którym posłużył za wzór.

Ale to maleństwo, ta "petite chose" jest największym dziełem, które wydała zachodnia cywilizacja. Partenon jest na miarę człowieka, jak na miarę człowieka była cała cywilizacja grecka, ale jest jednocześnie najwyższym wyrazem tego, do czego człowiek jest zdolny. Jest najwyższym wyrazem proporcji i równowagi. Na pozór to niewiele. Wydawać by się mogło, że proporcje, jako czysto matematyczny wyraz łatwo jest powtórzyć, gdy się je raz odnalazło, że osiągnięcie równowagi nie jest żadnym sekretem.

A jednak Partenon jest i pozostał jedyny. Są piękne świątynie w innych miastach Grecji, Sycylii czy lądu włoskiego, świątynie na modłę Partenonu. Ale żadna z nich nie osiagnęła tego jednorazowego piękna, które ma "to maleństwo" czuwające na skale nad Atenami.

Do siedemnastego wieku Partenon pozostał nietknięty. To weneckie kule armatnie dopiero dokonały częściowego zniszczenia, poorały kolumny, zniosły część fryzów. Czy bombowce Mussoliniego dopełnią dzieła?



WRÓCIŁO STARE PRZECIWIEŃSTWO RZYMU I HELLADY

Dziwnie się splatają drogi historii. Zdobycie Grecji przez Rzym, antagonizm Rzymu i Aten wydawały się czymś ściśle zamkniętym w ramach historii starożytnej. Od piętnastego wieku od chwili, gdy półksiężyc zastąpił krzyż na Świętej Zofii w Konstantynopolu rozgrywka szła między Turcją a chrześcijańską Europą. Przeciw Turcji było powstanie greckie na początku XIX wieku, z Turcją Grecy wojowali w latach dziewięćdziesiątych wieku ubiegłego, w roku 1912, w roku 1920.

Przyjaźń z Włochami była natomiast jednym z dogmatów polityki greckiej, choć po Wielkiej Wojnie to Włochy zajęły wyspy Dodekanezu z ich ludnością grecką choć Mussolini zbombardował w 1923 roku Korfu. Stary lis Venizelos, który był nowym wcieleniem tych wszystkich cech charakteru greckiego, które Homer usymbolizował w postaci Odysseusza— w otatnich latach życia całą politykę Grecji nastawił na współpracę z Mussolinim. I bardzo był dumny z tego, gdy udało mu się w pakcie bałkańskim ograniczyć obowiązek wzajemnej pomocy do wypadku napaści przez państwo bałkańskie, to jest przez Bułgarię, a wykluczyć napad przez państwo inne, czytaj Włochy. Prawda, że Venizelosowi wydawało się wtedy, że to Jugosławia jest zagrożona.

A dzisiaj . . . Dzisiaj Grecy z utęsknieniem czekają, by Turcy ruszyli im z pomocą przeciw Włochom.

WOJNA URODZONA ZE ŚWIEŻEJ KLĘSKI

O co idzie wojna włosko-grecka? Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, iż Mussolini musiał napaść na Grecję ponieważ 10 czerwca, w dniu wypowiedzenia wojny Francji, solennie zapewnił Greków, że nie mają się czego obawiać, że Włochy nie żywią zamiaru rozciągnąć wojny na Bałkany, że niepodległość Grecji nie będzie nigdy zagrożona, czyli że dał Grekom te same zapewnienia, które Hitler kolejno dawał państwom skandynawskim oraz Belgii i Holandii, a więc i koniec musiał być ten sam.

W istocie jednak atak na Grecję jest prostym wynikiem przegranej bitwy o Anglię. Dopóki Hitlerowi i Mussoliniemu zdawało się, że inwazja Wielkiej Brytanii może się udać i że da się zwycięski pokój podpisać w Londynie, do tej pory pozostawiali oni Bałkany w względnym spokoju. Wszelka awantura bałkańska grozi bowiem nie tylko wejściem Turcji do wojny, jako czynnego sprzymierzeńca Anglii, ale grozi także zawikłaniami z Rosją Sowiecką, zawikłaniami, których Hitler za wszelką cenę pragnie uniknąć.

Bitwa o Anglię jednak została przegrana. Flota inwazyjna skoncentrowana w portach francuskich została rozbita przez lotnictwo angielskie, próby masowych nalotów na Londyn, mające na celu zniszczenie Royal Air Force i opanowanie powietrza nad Anglią skończyły sie katastrofalnie.

W tych warunkach rozstrzygnięcia należało poszukać gdzie indziej. Frontem decydującym stał się front śródziemnomorski. Front śródziemnomorski to oczywiście przede wszystkim Egipt. Ale na to, by marszałek Graziani mógł bez ryzyka uderzyć na Egipt trzeba, by flota angielska na Morzu Śródziemnym przestała istnieć. Trzeba ją przede wszystkiem zakorkować, a potem zniszczyć. Do tego celu dążyły rozmowy Hitler-Franco i Hitler-Pétain. Atak hiszpański od lądu na Gibraltar, flota francuska w rękach osi to byłby wielki krok na przód na drodze to likwidacji śródziemnomorskiej floty angielskiej.

Jednocześnie jednak partnerzy osi starają się oskrzydlić siły angielskie w Egipcie. I tutaj wchodzi w grę Grecja.

MAPA MÓWI

Spójrzmy na mapę. Grecja jest konieczną trampoliną do skoku na Azję Mniejszą. Kontynent grecki, wyspy greckie, szczególnie Kreta dają panowanie na Wschodnim Morzu Śródziemnym. Jednocześnie wojska zajmujące Grecję szachują Turcję Europejską. Wojna o Grecję jest więc w gruncie rzeczy wojną o dostęp do Iraku i jego nafty, o dostęp do Iranu. Grecja ma otworzyć drogę do Palestyny.

Dlatego też część prasy angielskiej nalega na to, ażeby na wojnę grecką przede wszystkim odpowiedzieć zajęciem Syrii, i w ten sposób zabezpieczyć flotę angielską. Strategicznie konieczność ta jest oczywistą. Wątpliwe jest jednak, czy rząd angielski na krok ten się zdecyduje już w tej chwili. Raczej wygląda na to, że Londyn wciąż jeszcze liczy na to, iż marszałek Pétain zdolny jest do utrzymania neutralności Syrii, i nie chce doprowadzić do otwartego zerwania z Vichy.

ZAWIEDZIONE ALE JESZCZE NIEPORZUCONE RACHUBY

Opór grecki, jak się wydaje, zaskoczył Mussoliniego. Liczył on na to, że podobnie jak Dania, podobnie jak Rumunia Grecja ustąpi bez walki. Można nawet sądzić, że i teraz jeszcze państwa osi mają nadzieję, iż opór grecki będzie jedynie formalny i że poddanie się będzie można uzyskać bez kosztownych walk. "Blitzkrieg" bowiem nie rozpoczął się od razu. Pierwsze dni walki były jedynie dniami drobnych potyczek na pograniczu. Dwustotysięczna armia włoska stoi jeszcze w Albanii, dając Grecji czas na dokończenie mobilizacji, dając Anglii czas na pomoc.

Inny jeszcze fakt wskazuje na to, że nadzieja poddania się Grecji dotąd nie wygasła. Niemcy dotychczas formalnie są neutralne. Siedzi jescze niemiecki poseł w Atenach, siedzi poseł grecki w Berlinie. Hitler widocznie czeka na to, by wystąpić w roli "uczciwego" pośrednika.

Ta rezerwa włosko-niemiecka jest zrozumiała. Grecję można co prawda wspólnymi siłami zgnieść względnie łatwo i szybko, ale to zgniecenie jest połączone z dużym ryzykiem. Sam bowiem atak włoski z nad granicy albańskiej nie wystarczy. Prawdopodobnie musiałyby wejść w grę i wojska niemieckie. Te zaś są skoncentrowane w Rumunii, która nie ma wspólnej granicy z Grecją. To znaczy, że pomoc niemiecka jest równoznaczna z wciągnięciem Bułgarii do wojny.

INTERESY DWU SĄSIADÓW GRECJI

Oddawna już państwa osi starają się o to, by Bułgaria wypowiedziała się oficjalnie po ich stronie. Króla Borysa kuszą spełnieniem dwóch marzeń bułgarskich, które przekreśliły dwie przegrane wojny, druga wojna bałkańska i wojna światowa. Wskazują mu możność zdobycia na Grecji dostępu do morza Egejskiego, możność otrzymania z podziału Jugosławii i Macedonii. Nie tylko kuszą króla Borysa, ale i grożą mu. Żyje wszak jeszcze stary Ferdynand bułgarski, który musiał po klęsce 1918 roku tronu ustąpić synowi. Żyje i każdej chwili gotów jest z ramienia Hitlera na tron ten powrócić. Mimo to jednak król Borys się waha, albowiem wie, że większość narodu nie chce się dać wciągnąć w nowe awantury.

A nawet i dla państw osi wejście Bułgarii do wojny nie jest stuprocentowym plusem. Turcja bowiem wobec ataku na Grecję się nieruszyła. Prezydent Ismet Inonu oświadczył, że tymczasem jeszcze Turcja pozostanie stroną niewojującą. Jednocześnie jednak dał zupełnie wyraźnie do zrozumienia, że w razie ataku bułgarskiego na Grecję i Turcja się ruszy. I na granicy bułgarskiej stoją wojska tureckie.

Co to znaczy? Znaczenie tego jest dwojakie. Pierwsze wytłomaczenie to to, że Turcja spodziewa się jeszcze, iż atak na Grecję nie jest poprzedzeniem ataku na Turcję. Że zajęcie Grecji nie będzie jeszcze równoznaczne z zagrożeniem Dardaneli.

Ale ten rachunek byłby zbyt naiwny, żeby nim samym dało się wytłumaczyć stanowisko tureckie. W Ankarze rozumieją bardzo dobrze, że zapewnienia niemiecko-włoskie nic nie są warte, że zajęcie Grecji jest zagrożeniem interesów tureckich. Jeżeli więc mimo to Turcja czeka, to widocznie jeszcze coś innego się kryje za tym stanowiskiem. Tym czymś innym może być tylko—stanowisko Sowietów.

ROSJA CZUWA ZA KULISAMI

Grecja dla Stalina jest obojętna. Choć nie jest bez znaczenia fakt, że po raz pierwszy w wojnie obecnej komuniści nie zajmują stanowiska defetystycznego ale nawołują do obrony ojczyzny. (Tak przynajmniej donosi z Aten "News Chronicle.") Cieśniny zaś to już wyraźnie sprawa obchodząca Rosję.

Nie jest więc pozbawione podstaw przypuszczenie, że to Moskwa odradziła Turcji wejście do wojny w tej chwili, przyrzekając jej jednocześnie przychylną neutralność na wypadek, gdyby wmieszanie się Bułgarii wyraźnie Turcji zagroziło. Przypuszczenie to potwierdza fakt, że komuniści bułgarscy już od dosyć dawna prowadzą akcję antyniemiecką, a teraz rozpętali agitację przeciw wejściu Bułgarii do wojny.

Dalszy więc rozwój wojny greckiej jest jeszcze zupełnie niewyjaśniony. Jest niewyjaśniona sytuacja strategiczna, jest niewyjaśniona sytuacja dyplomatyczna.

SENS MORALNY NOWEJ WOJNY

Mimo to sam fakt, że Grecja nie poddała się ma olbrzymie znaczenie moralne. Oznacza on, że okres zahypnotyzowania potęgą niemiecką po upadku Francji już minął. Oznacza on, że wspaniała obrona Anglii, zwycięstwo odniesione tu w Londynie nad Niemcami dodało całemu światu otucny. Naród siedmiomilionowy stawiający opór dyktatowi Hitlera i Mussoliniego jest zjawiskiem więcej, niż pocieszającym. Jest dowodem, że powróciła wiara w zwycięstwo.

To zaś, że naród ten jest narodem, który może się powołać na nazwiska Milcjadesów i Temistoklesów, to że w komunikatach mogą powrócić i Salamina i Termopile i Maraton staje się pięknym symbolem nowej walki kultury z zalewem barbarzyństwa.

XX [illegible]

Ś.P. MAJOR BOLESŁAW WALIGÓRA

"Wojenko, wojenko"—śpiewały szeregi żołnierzy wyruszających w bój o niepodległość Ojczyzny.

Piesenkę tę tak ukochał młody wówczas Bolesław Waligóra, że gdy wojenne zmagani ukor onowało odzyskanie Niepodległości i gdy wojenne zmagani... etaoin etaoinu legenda tych bojów zaczęła ustępować miejsca szarej rzeczywistości dnia codziennego, postanowił on, wieczny rycerz, nie rozstawać się z tą wojenką i uratować dla potomnosci całą historię tych ciężkich lat. I tak zaczęła się ciężka i żmudna, a tak umiłowana, praca archiwisty.

Nadszedł wrzesień 1939 r. i znów zagrały surmy wojenne. Tym razem major Waligóra nie maszerował już w bitnych szeregach, lecz starania swe wszystkie poświęcił ratowaniu... dokumentów,... świadczących o wielkości Narodu i Wojska Polskiego. Nie szczędząc trudów przetransportował umiłowane papiery do Rumunii, gdzie na wyraźny dopiero rozkaz zgodził się zostawić w rękach naszej ambassady.

Uciekł z obozu internowanych w Rumunii, by na terenie Francji niestrudzenie,... bez wytchnienia, zbierać wszystko to, co stanowi najmniejszy choćby przyczynek do historii Wojska Polskiego

Podczas ciężkich dni ewakuacji jedyną jego troską były znów skrzynie z dokumentami, a najcięższym chyba momentem—palenie na rozkaz dowództwa akt w Saintes. Pamiętam ten szary deszczowy dzień w Saintes, to podwórze jakiejś francuskiej szkoły i majora Waligórę parokrotnie oglądającego ten sam papierek, by stwierdzić, czy aby nie można by go jednak zabrać o mówiącego przy każdym odrzucanym na bok do spalenia fascykule najnudniejszych nawet sprawozdań: "Proszę Pani, jaka szkoda, jaka szkoda."

Po krótkim pobycie obozie w Szkocji, wykorzystanym całkowicie na zbieranie relacji, pamiętników, opowiadań, jednym słowem wszelkich przyczynków do historii naszego Wojska, został on powołany do LIondynu na stanowiska Kierownika Archiwum Wojskowego.

I tu, na posterunku, bezduszny kawał żelaza przeciął nić tego tak pełnego poświęceń i umiłowania Wojska i Ojczyzny żywota.

Cześć pamięci Wielkiego Żołnierza i Najlepszego Syna Ojczyzny.

Maria Krzemicka

W. CHURCHILL I GEN. WŁ. SIKORSKI U ŻOŁNIERZY

Kiedy patrzyłem na Winstona Churchilla, który w towarzystwie generała Władysława Sikorskiego obchodził polskie szeregi— nurtowała w mym umyśle uporna myśl:

—Gdzie ja widziałem już tego człowieka?

Te energiczne ruchy. . . . Ten ostry, rozkazujący głos. . . . Ta pewna niecierpliwość w mowie, składającej się z krótkich, urywanych zdań. . . . Ten chód wreszcie, długie, silne, mocno w ziemię wbijane kroki. . . . I nagła myśl, wspomnienie zamierzchłych lat młodości: Nancy w roku 1918. Generał Józef Haller, prezes Roman Dmowski. A obok nich człowiek, który wówczas uosobiał całą siłę cywilizowanego oporu świata przeciw barbarzyństwu, człowiek, z którym łączyły się największe nadzieje nie tylko Francji, ale Polski, Europy, całego świata: Jerzy Clemenceau.

Clemenceau! Powtarzają się ramy historii. Tylko stronice jej przesunęły się nieco dalej na Zachód. Winston Churchill jest dzisiaj symbolem tych ideałów i tych sił, jakie jednoczył w sobie wielki mąż stanu Francji. Tak jak on, przyszedł w chwili najgroźniejszego niebezpieczeństwa. Tak jak on, zdusił podnoszący głowę defetyzm. I tak jak Clemenceau rzucił dumne słowa: "Prowadzę wojnę. Nie chcę nic obiecywać, ani niczym zwodzić. Przeciwnie. Wiem, że będzie nam towarzyszyła i nędza i śmierć. Mimo wszystkich przeszkód, mimo wszystkich trudności—będziemy walczyli. I zwyciężymy. Musimy zwyciężyć."

Cała energia wielkiej, mocnej rasy uosabia się w tym człowieku, którego silne, lekko ściągnięte oczy przesuwały się po twarzach polskich żołnierzy. Premier Wielkiej Brytanii witał kompanie i baterie polskim pozdrowieniem "Czołem." Wywołało to miłe wrażenie wśród naszych chłopców. Żołnierze odpowiadali radosnym chórem. To żołnierskie podejście, energiczne ruchy i pełna zdecydowania postawa, poza tym ta wyraźna sympatia malująca się na twarzy szefa rządu brytyjskiego —to wszystko chwytało za serce. Churchill patrzał na nas z uśmiechem, z jakim wita się ludzi szczególnie bliskich. I spojrzenie premier Wielkiej Brytanii zdawało się mówić:

—"Nie ugięliście się przed groźbą wojny. Wy jedni i wy pierwsi podjęliście to wyzwanie, jakie światu rzucił Hitler. Słabo uzbrojeni i nieprzygotowani do walki—własną piersią wstrzymywaliście czołg niemiecki. Wam mamy do zawdzięczenia, że ta pierwsza furia ataku nowożytnych Hunów nie zwaliła się na Anglię. Nie daliście się opanować zwątpieniu. Nie prosiliście o żadne zawieszenia broni. Poza granicami kraju pod wodzą człowieka, który tak, jak ja, przewidział nadchodzące niebezpieczeństwo i tak, jak ja, nie znalazł przedtym posłuchu we własnym społeczeństwie—poszliście do walki w Norwegii, we Francji, w Egipcie. Nie skalaliście się ani zdradą, ani niewiernością. Mogę na Was liczyć. Będę liczył. I wiem, że się nie zawiodę."

Wizyta Churchilla była uznaniem Wielkiej Brytanii dla Polski, dla naszego wojska, dla tej siły narodowego charakteru, jaką uosabia Wódz Naczelny, Władysław Sikorski. I tu, na ziemi szkockiej, stanęło między nami a nim, nowe, niepisane przymierze: prawdziwe przymierze polsko-angielskie.

Pobyt premiera Anglii złączył się z naszą polską uroczystością, jaką była dekoracja przez generała Władysława Sikorskiego tych dowódców, którzy odznaczyli się w ostatnich walkach, zarówno w Norwegii, jak i we Francji. I znowu symbol: Naczelny Wódz dekorował orderem wojskowym "Virtuti Militari" tych dowódców, którzy prowadzili do boju jednostki stworzone przez Niego w najtrudniejszych warunkach, jednostki już dziś należące do historii zarówno Norwegii, jak i Francji. Trudno o większe stwierdzenie i naszych zdolności organizacyjnych—i niczym niezłamanej żywotności narodu.

Trudno również o lepsze podkreślenie poczucia honoru narodowego. Armia polska we Francji walczyła w najtrudniejszych warunkach. Była niemal otoczona przez Niemców. Oddziały francuskie zostały zmuszone do cofania się. A żołnierz polski do ostatniej chwili wykonywał rozkaz swego Wodza. Wiedział, że musi wytrwać na posterunku. Wiedział, że nie może się cofnąć i otworzyć w ten sposób linii frontu. Wiedział, że jest uosobieniem honoru polskiego i nie może ściągnąć na siebie zarzutu, że z jego winy, z winy polskiej—zachwiał się tu lub gdzie indziej front. Swoje obowiązki żołnierskie, swoje obowiązki sojusznicze, wykonaliśmy do końca, jak pod Moskwą, jak pod Lipskiem. Policzy to kiedyś historia.

Mówił o tym generał Władysław Sikorski. W słowa Wodza wczyta się każdy Polak, zarówno w obozach, jak i na emigracji, zarówno w Ameryce, jak i w kraju dalekim, tak nieszczęśliwym i tak wielkim w swym nieszczęściu. Ze słów tych, stwierdzających zasługi żołnierza polskiego we Francji—bije nowe i bardzo ożywcze zródło otuchy. Wiemy, że jest ciężko, ale wiemy również, że najciemniejsza jest zawsze noc przed świtem. Spełniliśmy swój obowiązek we Francji, spełnimy go i w Anglii i wszędzie!

Tadeusz Rogala

* * *

Piękne, niezapomniane dni. Dopiero co zmieniliśmy miejsce postoju, zajęci urządzaniem kwater i przystosowywaniem się do nowych warunków pracy, gdy gruchnęła wśród szeregów żołnierskich wiadomość, że przybywa do nas Wódz Naczelny. A więc zaledwie w parę dni po zmianie m.p. oddziałów wojska polskiego Wódz Naczelny uznał za stosowne zaznajomić się ze zmienionymi warunkami bytu naszego żołnierza. Toteż żołnierz przyjął tę wiadomość z wdzięcznością i radością.

Dnia 23go o godz. 8,30 gen. Sikorski powitany został w m.p. jednej z brygad hymnem narodowym, poczem przeszedł przed frontem kompanii honorowej. Następnie, jak to jest Jego zwyczajem wdał się gen. Sikorski w rozmowy z żołnierzami, wypytując ich o warunki pobytu i przejścia osobiste, którymi się specjalnie interesował.

Tego samego dnia oczekiwała żołnierza polskiego jeszcze jedna miła niespodzianka a mianowicie przybycie premiera rządu Wielkiej Brytanii lorda Churchilla, który odwiedził nasze wojska w towarzystwie swej małżonki. Wizyta ta miała wielkie znaczenie gdyż świadczyła o tym, że premier brytyjski wielką przywiązuje wagę do roli, jaką obecnie wyznaczono wojsku polskiemu. Z oczu żołnierzy naszych mógł Churchill wyczytać zapewnienie, że nie zawiedzie się na nich, że z radością i zapałem wypełnią swój żołnierski obowiązek, że cieszą się, i są już uzbrojeni i gotowi do walki.

Powitany hymnem angielskim premier Churchill poprosił o odegranie hymnu polskiego, poczem, przechodząc przed frontem kompanii honorowej, przyglądał się uważnie każdemu żołnierzowi a następnie odjechał w towarzystwie Wodza Naczelnego, generalicji brytyjskiej i polskiej z dcą korpusu, gen. dyw. Kukielem na czele na błonia za miastem, gdzie defilowały przed nim oddziały zmotoryzowane i piesze, wywołując swą postawą wielkie uznanie. Potem zwiedzał premier linie obronne, interesując się żywo zarówno środkami, jakimi rozporządzają oddziały polskie, jak i każdym szczegółem życia żołnierskiego. Wyczuwało się, że nie jest to tylko wizytacja premiera wielkiego mocarstwa, lecz również starego żołnierza. Żołnierza, znającego potrzeby wojska i wczuwającego się w jego ducha.

Między żołnierzami naszymi a premierem Wielkiej Brytanii zadzierzgnęła się nić żywej sympatii a obecność na odcinku dwóch czołowych postaci dwóch narodów, które z taką konsekwencją przeciwstawiają się agresji niemieckiej i wypracowują wspólne zwycięstwo wywarła na żołnierzu polskim głębokie wrażenie.

Dwa dni poźniej inny znowu obóz polski przeżył swój wielki dzień. Na tle pięknego zamku zgromadziły się oddziały wsławionej bojami w Polsce i Francji brygady oraz poczty sztandarowe innych brygad. W południe przybył tu Wódz Naczelny w otoczeniu świty, odebrał raport od dcy Korpusu gen. Kukiela, przeszedł przed frontem oddziałów, poczem nastąpiła niezapomniana chwila dekorowania orderem Virtuti Militari IV klasy trzech bohaterskich generałów: gen. Ducha, gen. Maczka i gen. Szyszko-Bohusza. Naczelny Wódz powiedział, że generałowie ci, dcy trzech wielkich jednostek, są dla całego wojska wzorem do naśladowania.

Imieniem odznaczonych dziękował gen. Maczek, który wzniósł okrzyk na cześć Naczelnego Wodza, z zapałem powtórzony przez obecnych.

W kwandrans potem odbyła się defilada. Wypadła doskonale, i wzbudziła zachwyt wśród licznie zgromadzonej publiczności szkockiej, która w tym nowym m.p. brygady po raz pierwszy widziała wojsko polskie i mogła z nim wspólnie przeżyć tak piękną uroczystość.

Uczestnik

NACZELNY WÓDZ MÓWI

Żołnierze,

Jako Wódz Naczelny Polskich Sił Zbrojnych nadaję Krzyż Wojenny Virtuti Militari IV-ej klasy generałowi Duchowi, generałowi Maczkowi i generałowi Bohuszowi-Szyszce. Stawiam ich równocześnie za wzór jako dowódców, którzy w najcięższych chwilach bojowych wypełnili wzorowo ciążący na nich obowiązek przykładem cnót prawdziwie żołnierskich. Brakuje wśród nich generała Prugar-Ketlinga, którego odznaczenie odłożyć muszę do chwili sposobniejszej.

Generałowie ci dowodzili wielkimi jednostkami, stworzonymi we Francji. Ich dywizje i brygady samodzielne, bijąc się we Francji i Norwegii, reprezentowały godnie wśród obcych ludów wielkość polskiego narodu, kontynuując chlubnie jego wysiłek historyczny z 1939 r. Wśród powszechnego upadku zdobyły one dla armii polskiej podziw ogólny i szczere uznanie, niosąc wysoko sztandar wolności i okrywając oręż polski wiekopomną sławą.

Generał Duch, dowódca I-ej Dywizji Grenadierów, brał udział osobisty w jej formowaniu we Francji, wyszkolił ją, ożywiając entuzjazmem, wiarą i zapałem oraz wychowując żołnierzy w niezawodnym harcie, jaki zaimponował światu. Dywizja ta brała udział w tragicznej kampanii francuskiej z tak wielkim powodzeniem, że stawiam ją wśród pierwszych wielkich jednostek naszego wojska.

Pierwsza Dywizja Grenadierów pod rozkazami Gen. Ducha otrzymała swój chrzest bojowy w mojej obecności, walcząc na linii Maginota. Ze wzruszeniem wspominam dzisiaj dzielnych kanonierów z 1.p.a.l. i 1.p.a.c. oraz ich dowódców, którzy, z płomieniem zapału w oczach słali swe pociski w szeregi wroga, wzbudzając sprawnością i poświęceniem entuzjazm wśród wspieranych przez nich oddziałów francuskich. Wiedziałem, że ten żołnierz wykona swój obowiązek do końca i nigdy nie zawiedzie pokładanych w nim nadziei. Tak się też stało w chwili próby. Pierwsza Dywizja Grenadierów spełniając swój obowiązek żołnierski, dobrze zasłużyła się Ojczyźnie.

Była ona w najtrudniejszej sytuacji w najcięższych bojach. Gdy sąsiadujące z nią jednostki francuskie załamywały się pod naporem wroga i zdemoralizowane opuszczały plac boju, Dywizja Grenadierów wytrwała do końca, a otoczona przez nieprzyjaciela przebiła się na południe, by połączyć się z resztą armii i podjąć dalszą walkę.

Dnia 18 czerwca nastał dla niej moment szczególnie ciężki. Otrzymałeś, wtedy, generale, mój rozkaz przebijania się do Szwajcarii. Gdy jednak dowództwo francuskie zwróciło się do Ciebie z prośbą o osłanianie sąsiednich dywizji, apelując do Twego honoru żołnierskiego, podjąłeś, po naradzie z dowódcami pułku, dalszą walkę z Niemcami. Dzięki tej decyzji, mimo, że około 6 tys. grenadierów przelało swą krew, udało się uratować resztę sił od grożącej im niechybnie niewoli, a Dywizja Twoja zdobyła chwałę nieśmiertelną i okryła blaskiem imię żołnierza polskiego.

Generale! Jako Wódz Naczelny dziękuję Ci za wypełniony wzorowo obowiązek żołnierza dowódcy, który świecił przykładem osobistym, znajdując się zawsze na najtrudniejszym posterunku.

Generał Maczek dowodził 10-ą Brygadą Kawalerii, jedynej naszej jednostki, która po zaszczytnych bojach w wojnie wrześniowej, przeszła jako całość, ze sztandarami i bronią, na Węgry. Następnie, przezwyciężając olbrzymie trudności, przybyła do Francji, by walczyć dalej wśród powstających na nowo wielkich jednostek polskich.

Od 1 września 1939 r. przerzedziły się szeregi Brygady. Przelewała ona obficie krew w Polsce i we Francji. Chociaż kadry jej uzupełniali nowi żołnierze, to jednak pozostała ona tą samą żelazną Brygadą Kawalerii, złożoną z tych samych starych pułków polskich, mając te same, okryte sławą sztandary, a przede wszystkim tę samą wolę niezłomną walki, z którą rozpoczęła swoje boje w Polsce.

Generale Maczku! Ty jesteś tym, który stworzył tę piękną Brygadę i pchnął w nią jej niezawodnego w boju ducha. Ty jesteś tym, który z narażeniem własnego życia prowadził swoich ukochanych żołnierzy do walk, w których okryli się chwałą, jaką dziś słusznie się chlubią.

Generał Szyszko-Bohusz, dowódca Brygady Strzelców Podhalańskich, która tak pięknie walczyła zdala od reszty naszej armii w odległej Norwegii. Była to pierwsza jednostka, która wyruszyła z Francji na front i pierwsza, która krwawiła się na obczyźnie za sprawę polską.

Wysłałem ją w dalekie kraje z największą troską i niepokojem, zdając sobie sprawę z niezmiernie ciężkich warunków, w jakich będzie walczyć. Autorytet i tężyzna moralna dowódcy zdecydowały w tej sytuacji o losach oddziału.

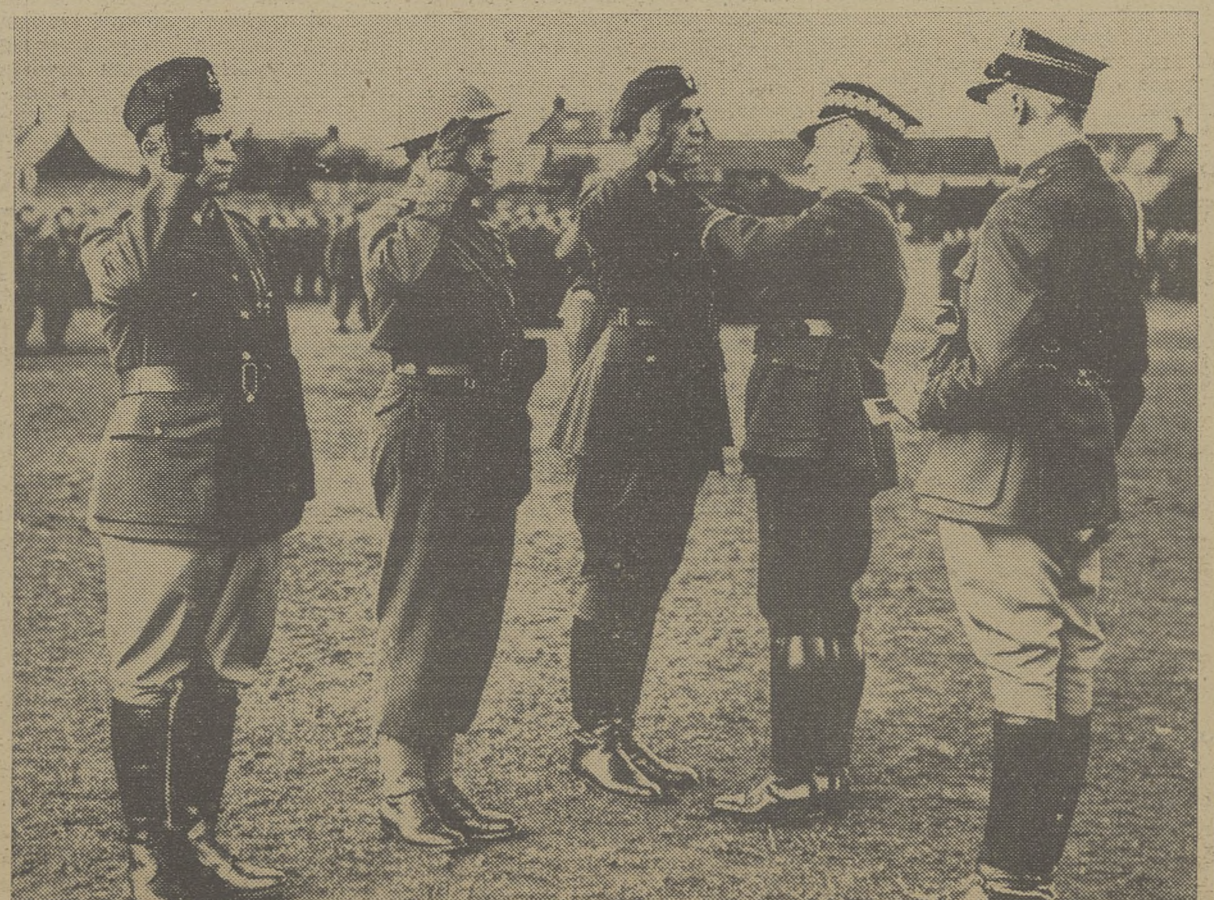
Brygada Strzelców Podhalańskich, bijąc się za wolność narodu norweskiego, nie tylko stanęła na wysokości, ale rozsławia imię żołnierza polskiego po świecie. Narwik, to symbol, który posiada wielką treść w historii tej Brygady. Wypiszcie to słowo na waszym żołnierskim sztandarze, by wspomnienie o nim budziło w przyszłości dumę i zapał wśród żołnierzy podhalańskich.

Generale! dziękuję Ci za świetne dowodzenie Brygadą w niezmiernie trudnych warunkach bojowych.

Zasługi odznaczonych dzisiaj Generałów, sięgają dalej, niż kampania francuska i norweska. Wyróżniając się szczególnie w czasie wojny bolszewickiej i kampanii wrześniowej, zdobyli oni sobie prawo do szlif generalskich i powierzonych im przeze mnie, jako najbardziej zasłużonym oficerom, stanowisk dowódców. Stwierdzam z dumą, że nie zawiedli mego zaufania.

Żołnierze! W momencie, w którym zamyka się pierwszy etap naszej wędrówki tułaczej, uczcijmy pamięć tych, którzy życiem przypieczętowali swą miłość gorącą dla Ojczyzny. Oddajmy Ich cieniom hołd najgłębszy.

Wyróżniając zaś najbardziej zasłużonych z pośród nas generałów, wzywam Was do dalszej karnej i wytrwałej pracy i do dalszego niezłomnego wysiłku bojowego na rzecz Polski, która nie zginęła, póki broń jest w naszych dłoniach. Powstanie ona z ofiar wielkiego w swym bohaterskim oporze Narodu.



Dekoracja generałów: Ducha, Maczka, Szyszki-Bohusza przez Naczelnego Wodza

Droga obowiązku

Artykuł mój pt. "Za Twoim przewodem" * wywołał silne echa w obozach. I jednym z tych odzewów był list, poruszający w sposób żołnierski, jasny i prosty, zagadnienie, które w wojsku naszym dyskutowane bywa bardzo często.

"Mówi Pan—pisze korespondent—że "*Wódz Naczelny pragnie współpracować ze wyszystkimi Polakami i żadnego porządnego człowieka od tej współpracy nie odsuwa.*" Idziemy wszyscy za Władysławem Sikorskim i dlatego podpisujemy się oburącz pod tym oświadczeniem. Ale jest jedna sprawa, która nas niepokoi i martwi. Mianowicie kwestia bliższego określenia wyrazów "porządny człowiek." Czy porządny człowiek jest ten, który ma przydział i w taki sposób może czynnie współpracować dla Polski? Jeżeli tak—to jakie są kryteria tego przydziału? I drugie pytanie: czy tych żołnierzy —wszystko jedno oficerów, podoficerów lub szeregowych—którzy przydziału nie mają, albo mają przydział nie odpowiadający ich randze czy też ich zdolnościom należy zaliczyć do rzędu ludzi, którzy nie odpowiadają określeniu tego przymiotnika? Piszę o tym wprost, gdyż zależy mi, aby zwalczać chociażby cień jakiegokolwiek rozgoryczenia."

Pytanie jest jasne i nie chodzi tutaj o fakt, czy zadaje je pułkownik, kapitan lub podoficer. Zadaje je żołnierz. I odpowiedź musi być również prosta, szczera, żołnierska.

Nikt z nas nie może ukrywać tej prawdy, że dla bardzo wielu, ze wszech miar porządnych oficerów i najlepszych Polaków nie ma przydziałów. Nie ma ich dlatego, ponieważ okoliczności, wśród których po raz trzeci tworzymy armię polską, są tego rodzaju, że nie można wykorzystać *wszystkich* zdolności, *wszystkich*, może nawet bardzo wybitnych ludzi. Po prostu dlatego, że tych przydziałów brakuje dla nich, że *w tej chwili* nie można ich użyć na właściwych stanowiskach. Nie można—ze względów czysto technicznych: kadry naszej armii są na razie za szczupłe. *Ale to wcale a wcale nie wyklucza faktu, że te kadry mogą lada chwila powiększyć się i wówczas nie tylko, że każdy znajdzie i "przydział" i "funkcje," ale będzie wprost za mało ludzi, za mało oficerów i podoficerów.*

I dlatego było by najzupełniej niewłaściwe, aby ktoś poddawał się z tego powodu, iż jego kolega ma "przydział" a on go nie ma jakiemuś rozgoryczeniu lub co jeszcze gorzej, zniechęceniu. Znaleźliśmy się wszyscy w niesłychanie trudnych warunkach, które są najściślej związane z losami wojny. Jak wspomnieliśmy te warunki mogą ulec *każdej chwili* zmianie na naszą korzyść. Ale właśnie dlatego, trzeba koniecznie zdać z wynikiem jaknajlepszym ten egzamin wytrwania i charakteru. Gdy ktoś *na razie* nie posiada takiego przydziału, jaki odpowiada i jego ambicjom i zdolnościom—to powinien spełniać możliwie najlepiej tę służbę, jaka mu w tej chwili została wyznaczona.

Jeżeli nawet oficer sztabowy będzie pełnił—w tych wyjątkowych warunkach—wzorowo bardzo skromną funkcję nie odpowiadającą ani jego randze, ani zawodowej fachowości, to właśnie dzięki temu poświęceniu, jakiego w tej chwili wymaga się od niego—staje się najlepszym kandydatem na przyszłe, wysokie stanowisko. Zdał bowiem najcięższy egzamin życiowy—siły charakteru. I kto wie, czy ta jego z konieczności bardzo skromna praca nie przedstawia w tych warunkach poważniejszych kwalifikacyj, aniżeli działalność jego kolegi na "przydziale."

To samo dotyczy się innych żołnierzy. Muszą oni wszyscy pamiętać, że armia nasza jest w tej chwili rodzajem wielkiej kadry przyszłej, ogromnej armii polskiej. Jeżeli podoficer właśnie w tym okresie wykaże wszystkie zalety wojskowe, a przede wszystkim karność i wzorową dyscyplinę—to może zrealizować swe największe ambicje, a nawet może je znacznie przekroczyć. Jeżeli szeregowy dobędzie wszystkich sił swoich, aby stać się wzorowym karnym i służbistym żołnierzem to prędzej, niż przypuszcza, będzie w zwiększonej naszej armii nie tylko kapralem, ale chorążym. Musimy pamiętać, że ten okres, który przechodzimy jest wyjątkowo trudny, ale stanowi on również największy sprawdzian prawdziwych wartości żołnierskich.

W dalszym ciągu: jeżeli ktoś, czy to z powodu zdrowia, czy to starszego wieku nie może być dzisiaj użyty na tym stanowisku, choćby najskromniejszym, na którym znajdują się jego koledzy—*to chwilowe odkomenderowanie go do mniej aktywnego obozu W.P. nie jest ani dowodem braku zaufania, ani też rezygnacją z pracy danego żołnierza.* Jest to rozkaz tymczasowy, który każdej chwili, jeżeli tylko zaistnieją korzystne warunki może być zmieniony. Inaczej tych rozporządzeń traktować nie wolno, gdyż wszystkie inne komentarze byłyby niezgodne z istotnym stanem rzeczy. *Nie wolno również urabiać krzywdzących pojęć wobec kolegów, którzy chwilowo czekać muszą albo dla których nie ma zajęcia.*

Niech będzie nam wolno zacytować jedno porównanie: w armiach sprzymierzonych, które znalazły się w podobnej sytuacji, jak my—ogromną ilość wojskowych, dla których nie było przydziału odesłano po prostu "do cywila" i są oni na biletingu, tak, jak kobiety. A my wszyscy, bez względu na to, czy mamy przydziały, czy nie—jesteśmy w służbie, jesteśmy w mundurach i nie wyszliśmy ani na chwilę poza kadry Wojska Polskiego

Teraz druga sprawa. A mianowicie kryterium tych "przydziałów." Dlaczego pan X. ma przydział, a pan Y. tego przydziału nie posiada? Pan Y. ma takie i takie zasługi, spełniałby daną funkcję może lepiej od X. i td. Możliwe. Naczelny Wódz mówił w jednym ze swych pierwszych rozkazów, że wszystkie funkcje należy traktować jako chwilowe i przejściowe. "*Droga do awansów i odpowiednich stanowisk mówił dnia* 31 *grudnia* 1939—*jest dla każdego z Was otwarta. . . . Zaznaczam jednak . . . że chwila może pozbawić oficerów i podoficerów posiadanych przez nich stopni, jeżeli nie okażą się ich godni.*" To, że ktoś znalazł się na danym stanowisku wojskowym, wszystko jedno w linii czy też w sztabie nie znaczy wcale, aby na nim miał pozostawać nawet do końca tej kampanii. Wiemy zresztą wszyscy z własnego doświadczenia, że selekcja pod tym względem nie ustaje ani na chwilę, *i droga z "obozu" do "sztabu" jest tak samo krótka, jak ze "sztabu" do "obozu."*

A propos tego "sztabu." Wielu z nas przyzwyczaiło się myśleć dawnymi kategoriami z przed wojny. Dawniej "sztab"—to było coś daleko, daleko poza linią, a przydział do sztabu był nie tylko zaszczytem, ale i czymś w rodzaju dobrego schronu. Wojna totalna wprowadziła pod tym względem zasadnicze zmiany. W chwili, kiedy stukam na maszynie te słowa, trwa nalot, już czwarty od rana. Niedaleko padły bomby. A noc była szczególnie ciężka i ranek powitał nas wiadomością o bolesnych stratach. Zginęli koledzy, których jeszcze wczoraj mieliśmy wśród nas—niestety, nie pierwsi w Londynie i nie ostatni. *Sztab dzisiaj—to bardzo poważny i bardzo odpowiedzialny odcinek frontu.* Wystarczy jedna wycieczka do Londynu, aby się o tym na własne oczy przekonać. Jesteśmy wszyscy zrównani nie tylko wobec Boga i wobec miłości Ojczyzny, ale także wobec śmierci, nieodstępnej towarzyszki żołnierza. I chodzi tylko o to, aby, gdy Bóg zechce nas wezwać do ostatniego raportu—można było stanąć przed Nim ze spokojnym sumieniem i z poczuciem dobrze wykonanego obowiązku. Wszystko inne nie odgrywa naprawdę najmniejszej roli. Ani "przydziały" ani "funkcje," ani—bądźmy zupełnie szczerzy—takie czy inne uposażenia służbowe.

Jesteśmy więcej, niż armią. Jesteśmy czymś w rodzaju krucjaty, walczącej o wolności Polski i świata, o prawo, o chrześcijaństwo, o sprawiedliwość, o człowieczeństwo. Cele nasze są tak wielkie, że blednie wobec nich dosłownie wszystko. *Stoimy przed najcięższym egzaminem historii.* I całe nasze Wojsko Polskie i każdy z nas. Musimy przetrwać. Musimy wierzyć. Musimy zdobyć się na największy hart moralny, więcej, musimy zachować, mimo wszystko a nawet wbrew wszystkiemu—pogodę ducha. A wówczas, Bóg nam pozwoli i odnieść zwycięstwo i wrócić do kraju, gdzie samo społeczeństwo będzie powołane do oceny naszej roli i tych stanowisk, jakie zostaną nam powierzone.

Tadeusz Kiełpiński

* Por. nr. 33 "Polski Walczącej."

WARSZAWA

Syrenę nosisz w herbie—zwano cię zwodnicą,
co płochym śmiechem zbywa i znać nie chce statku. . . .
A przecież dzisiaj zgliszcza twoje krwawe krzyczą
jękiem serca—z śródmieścia po same rogatki.

Nie chciałaś dać się posiąść—ty, harda i wolna,
jak kobieta, co sama kochanków dobiera.
Nie byłaś, ani będziesz bezwolnie pokorna
wobec wroga, przybłędy albo gwałciciela.

Oparta o Zygmunta królewską kolumnę
i nurzająca w Wiśle poranione stopy,
oczyma męczennicy popatrujesz dumnie
na tchórzliwie pod gwałtem zgiętą Europę.

Upłynie czas straszliwy ostatniej pokuty,
i wtedy hymn zwycięstwa zaszumi ci Wisła,
taka w słońcu błękitna, jak wstęga Virtuti,
co no tarczy herbowej wczoraj ci zawisła.

Antoni Bogusławski

BYŁEM WE LWOWIE

To było wczoraj, pewnie dzisiaj będzie,
I jutro przyjdzie, jak co noc we śnie,
Świat cały stanie w rozszalałym pędzie,
Staną godziny, minuty i dnie . . .
Myśl moja zgaśnie, jak nad ranem gwiazda,
Noc mi odbierze nerwy, wzrok i słuch . . .
Sen mnie poniesie do mojego gniazda,
W najdroższą wizję wpatrzy się mój duch . . .

. . . .

Idę przez miasto—mój Lwów jeszcze śpi,
Jest dziwnie szaro . . . mgła jesienna pada . . .
Nad Zamkiem pierwsze słońce krwawo tli,
Bernardyn rannym dzwonem się rozgadał,
Idę przez miasto, postać Wieszcza witam—
Mickiewicz głowę jeszcze wyżej wznosi,
Może o wyrok Najwyższego pyta,
Może o Polski wybawienie prosi.
Idę przez miasto—Trzeciemu Janowi
Korny mój pokłon składam przed cokołem:
Pamiętasz Królu tany w Jaworowie?
I na Zniesieniu taniec Twój z Mongołem?
Idę przez miasto—jedyne na świecie.
A idę z trudem—słyszę własny krok . .
Już w Parku Stryjskim z drzewa liście leci,
To już jest jesień—to już inny rok!

Idę przez miasto—co raz śpieszniej, śpieszniej,
By mi nie zbladło, nie przepadło w mgle:
"Pozostań przy mnie—to jeszcze zawcześnie,
Uwierz mi Lwowie . . . że bez Ciebie źle!"
Idę przez miasto, mijam zieleń parków,
Ogrody, domki i Łyczaków nasz,
Łzy moje niosę Orlętom w podarku
Na Ich Cmentarzyk—i padam na twarz.

Idę przez miasto—mój Lwów jeszcze śpi . . .
Wyjdę na Zamek . . . wysoko, zawołam—
Może się zbudzi i odpowie mi . . .
Jeszcze nie pora—cisza dookoła.
Stoję wysoko—miasto w dole tam:
Wieżyce, domy, parki, cały Lwów . . .
Ręce wyciągnę—obejmę—już mam . . .
Wróciło miasto dzisiaj do mnie znów.
Stoję wysoko—miasto mgła zasnuwa—
Jeszcze nie wierzę . . . myśl się jeszcze łudzi . . .
W kamienną wizję mój Lwów się zakuwa,
Ale gdy przyjdzie pora—Lwów się zbudzi.

. . . .

To było wczoraj, pewnie dzisiaj będzie,
I jutro przyjdzie—mój wzrok Wam to powie,
Świat się zatrzymał w rozszalałym pędzie:
Byłem we Lwowie . . .

Wiktor Budzyński

Jak żyją, pracują i walczą lotnicy polscy w Anglii

Korzystamy z okazji, jedziemy odwiedzić naszych lotników. Popatrzeć na nich z bliska, przekonać się czy są podobni do nas zwyczajnych śmiertelników, choć i my narażeni dziś jesteśmy na niebezpieczeństwo bombardowania w Londynie, na równi z żołnierzami na polu walki, czy też lotnicy może są inni, trochę odmienni od nas.

Samochód unosi nas z Londynu, kierowany sprawną i spokojną ręką, znanej już czytelnikowi z poprzedniego krótkiego opisu, Kanadyjki. Żegnamy Londyn, nad którym w tej chwili zwisają ciężkie chmury, kryjąc go przed wzrokiem lotników wroga.

Jesteśmy na lotnisku. Załatwiamy formalności i znajdujemy się po chwili w budynku, podobnym zresztą do innych, w którym przebywają lotnicy będący w pogotowiu. Zastajemy ich przygotowanych każdej chwili do zajęcia miejsca w samolotach, też będących w pogotowiu. Mają założone specjalne kamizelki—pływaki, ciepłe lotnicze buty, kombinezonów lotniczych nie wkładają, bo w zamkniętych kabinach samolotów jest ciepło.

W alarmie są Anglicy, są i Polacy. Na pierwszy rzut oka trudno ich od siebie rozróżnić—są jak bracia Sjamscy. Witamy sympatycznych Anglików, swoich poznajemy po rodzimym języku, zamieniamy szczery uścisk dłoni. Proszą nas rozgościć się na łóżkach, krzesłach, jak kto chce i może, są w alarmie.

Lotnicy nic nie mówią na temat swoich zwycięstw, taki to już naród milczący. Rozmawiamy o sprawach potocznych, tak jak się rozmawia z przyjaciółmi gdzieś w ustroniu. Z zainteresowaniem obserwuję jak właśnie Anglik próbuje wyprowadzić Polaka z równowagi i z wygodnej pozycji leżącej na łóżku, uderzając z siłą pasem w podeszwy obuwia. Czy boli?—proszę spróbować. Polak wybucha śmiechem, Anglik mu wtóruje, mocują się następnie i w podskokach wybiegają z budynku.

W tej samej sekundzie dyżurny telefonista przekazuje rozkaz startu. Nasi mili gospodarze biegiem znikają i za chwilę widzimy ich startujących w samolotach.

Nas proszą do schronu na lotnisku. Nie bardzo mamy ochotę chować się, przecież nasi są w powietrzu. Nalegają jednak grzecznie. Idziemy, schron jest tuż obok. Zatrzymujemy się przy wejściu. Niebo jest w dalszym ciągu pochmurne, a prócz tego wisi przyziemna dość gęsta miejscami mgła. Czekamy tak, rozmawiając, z godzinę.

Wreszcie z chmur wyłaniają się samoloty, zataczają nisko koło nad lotniskiem i zgrabnie lądują na ziemi. Za chwilę widzimy znowu uśmiechnięte twarze naszych miłych rozmówców. Są zmartwieni. Walki nie było. Były pojedyńcze samoloty, lecz skryły się w chmurach. Chmury płyną kilku warstwami i sięgają wysoko. Polowali przez dłuższy czas, lecz zwierzyna w gąszczach chmur uciekła. Są przekonani, że innym razem wróg nie ujdzie im. "Ot nie ma szczęścia"—mówi dowódca polskiego dyonu.

Żegnamy miłych gospodarzy i jedziemy dalej. Mgła, chmury i deszcz kapuśniaczek towarzyszą nam i przysłaniają horyzont. Przy wjeździe do jednego z miasteczek zatrzymuje nas policjant i uprzejmie zawiadamia, że jest ogłoszony alarm przeciwlotniczy, że jednak możemy jechać dalej, jeśli chcemy. Przejeżdżamy przez to miasteczko—ruch w nim normalny.

Pod wieczór docieramy do innego lotniska. Nie mając dokładnej mapy i nie znając drogi, pytamy od czasu do czasu przechodni, rowerzystów żołnierzy, policjantów. Wszędzie spotykamy się z miłym uśmiechem, naturalną grzecznością i potrzebną informacją.

Lotnicy, nasi i Anglicy, i tu spotykają nas bardzo mile. Polacy z tej jednostki udziału jeszcze w walce nie biorą, ale są na wylocie. . . . Marzeniem ich jest jak najszybciej stanąć u boku już walczących i nawiązać ponowną walkę z wrogiem, okupującym nasz kraj i zagrażającym cywilizacji całego świata.

Nie możemy długo zatrzymywać się, zmierzch się zbliża, a drogę mamy jeszcze daleką przed sobą. O zmroku już podążamy dalej.

Późnym wieczorem zatrzymujemy się w jednym z miast na nocleg.

Tej nocy nie dane nam było spać spokojnie. Za chwilę dochodzi naszych uszu charakterystyczny dźwięk wrogiego silnika. Wkrótce gwizd spadających bomb obramowuje nasz hotel.

Nasz sympatyczny kierowca samochodu, Kanadyjka, puka za chwilę w drzwi i oznajmia, że wychodzi na miasto udzielić pomocy rannym jeśliby zaszła potrzeba, bo właśnie jedna z bomb trafiła w najstarszy dom w tym mieście stojący w pobliżu naszego hotelu, dom, schronisko dla starców, szereg osób odniosło rany, a ośm zostało zabitych. Dzielna dziewczyna myśli jedynie o obowiązku. Jest typową przedstawicielką Brytyjczyków. Obowiązek dobrowolnie na siebie przyjęty i praca zawsze i wszędzie dla innych, przy tym skromność i spokój, to jej dominujące cechy, a z tym wszystkim młodą twarz okrasza wdzięczny zawsze uśmiech.

Alarm trwa i bomby na śpiące miasteczko spadają do godziny 3-iej w nocy.

Po księżycowej nocy bezchmurnej wstaje ranek znowu zamglony, znowu chmurny, trochę płaczący.

Jesteśmy na innym lotnisku. Tu również przyjmują nas z otwartymi ramionami. Czują się świetnie. I oni też wkrótce będą zadawać ciosy wrogowi, ale z pewnością ich bomby nie będą odbierać życia starcom, a trafią zawsze w siły żywotne wroga. Och, jak go nienawidzą, jak oczy im pałają i jak rwą się do walki. O duchu żołnierskim i poczuciu obywatelskim żołnierzy jednej z dwóch stojących tu jednostek, świadczy fakt zebrania i ofiarowania na fundusz "Spitfajra," ze swoich drobnych oszczędności, 25 funtów ang. Tak, lotnicy nie tylko pracują i walczą—zbierają jeszcze na samolot. Wiadomo, ziarnko do ziarnka. . . . Samolotów potrzeba dużo, a przede wszystkiem jest to jeszcze jeden dowód niezłomnej woli zwycięstwa wśród naszych żołnierzy.

Zasiedzieliśmy się trochę, przyjaźnie gwarząc, a że pora lunchu nadeszła, zatrzymano nas na posiłek.

Po południu gościmy i innych. Z równą serdecznością spotykamy się tu jak i poprzednio u innych. Chęci myśli i uczucia to praca i walka, by siłę wroga złamać i kraj oswobodzić. Niestety nie możemy pozostać na posiłku—droga dziś jeszcze daleka.

Już dobrze o zmroku docieramy do następnego z kolei lotniska. Lotnisko, taka sama twierdza, jak i inne. Druty kolczaste, schrony, stanowiska betonowe i ziemne karabinów maszynowych, rowy strzeleckie i inne urządzenia są dziś na lotniskach nieodłącznymi akcesoriami wojny. Każde lotnisko w tej wojnie to nie tylko teren urządzony pod kątem widzenia potrzeb pracy lotniczej, lecz również teren zorganizowany i umocniony pod kątem widzenia obrony przed niespodziewanym desantem wroga.

Ciemno zupełnie, księżyc dopiero się podnosi.

Jesteśmy gościnnie przyjęci, po królewsku. Cieszą się naszym przyjazdem i my się cieszymy. O dalszej jeździe nie ma mowy, musimy zostać na nocleg.

Kasyno, jak wszędzie, urządzone jest z możliwym przepychem, jest w nim wygodnie i przytulnie. Ciężka praca i walka lotnika w przestrzeni trzy wymiarowej jest niezwykle wyczerpująca, tak pod względem fizycznym, jak i psychicznym, wszelkie więc wygody dla zupełnego odpoczynku i odprężenia są konieczne, jeśli lotnik w pracy swej i walce ma być wydajny. Czy to walka w powietrzu, czy lot na wyprawę bombową, czy inny, wymagają od lotnika bystrości obserwacji, szybkości decyzji i szybkości reakcji w sytuacjach błyskawicznie zmniennych, a przy tym obecne duże szybkości samolotów same przez się męczą i wyczerpują organizm, a przede wszystkim ustrój nerwowy i krwionośny. Zapewnienie zatym lotnikom dobrych warunków odpoczynku i odprężenia jest nie tylko uzasadnione i konieczne, lecz stokrotnie opłaca się, utrzymując ich w dobrej formie fizycznej i psychicznej. Kuchnia wszędzie jest świetna, nawet cukru może każdy brać ile mu się podoba. Tak samo wszędzie dla podoficerów i szeregowców wyżywienie jest dobre, jak i warunki zamieszkania.

Słuchamy opowieści lotników. Dziś też jest wyprawa, jak co dzień zresztą, w których lotnicy polscy zawsze biorą udział. Nie poszliśmy na start, by nie przeszkadzać. Czekamy wraz z dowódcami w kasynie na powrót lotników z wyprawy bombowej. Nie wszystkie załogi co dzień lecą. Obowiązuje kolejka, by sprawiedliwości stało się zadość, bo każdy co dzień chciałby latać. Kolejność tyczy i dowódców dyonów.

Panuje tu nie tylko ogromne zżycie wszystkich, ale i miłość wzajemna. Wyczuwam to w spokojnym zachowaniu się tak dowódców, jak innych kolegów i mechaników. Lotnicy mają swoje przesądy, wierzenia, choć nie jest to równoznaczne z tak zwanym zabobonem. Te przesądy i wierzenia są raczej odzwierciedleniem pewnego romantyzmu i głębokości uczuć. Sprawia to, że nie tylko do siebie odnoszą się z ciepłem braterskim, ale również samolot w ich wyobraźni to istota jakby żyjąca.

Nie każdy samolot, to prawda, jedynie tylko ten, na którym lotnik lata, jedynie tylko ten, który mechanicy obsługują. Samolot w fabryce, w składach jest przedmiotem martwym, ten sam samolot w eskadrze nabiera życia i żyje zbiorowym życiem eskadry, dywizjonu.

Dowódca opowiada właśnie, jak po powrocie z wyprawy mechanik wypytywał go, jak silnik pracował, jak samolot zachowywał się w powietrzu, jak reagował na stery, a następnie, sądząc, że nikt go nie widzi, schylił się i pocałował krawędź skrzydła. Nie każdy jest w stanie odczuć ten odruch mechanika, a to nie jest przykład pojedyńczy, wypadkowy. Spotkamy się z głaskaniem samolotu, z poklepywaniem, jak konia, nieraz z czułym doń przemawianiem, zupełnie jak do żywej istoty. Samolot jest moralnym symbolem i fizycznym łącznikiem pracy i walki mechaników i personelu latającego, jakby łącznikiem ich uczuć. Spotkamy się i z szorstkością u lotników, lecz głębiej zawsze znajdziemy bogate źródło uczuć, którego strumień przepływa przez serca wszystkich lotników, tak personelu latającego, jak i technicznego.

Alarm na lotnisku. Wychodzimy przed gmach kasyna. Noc cudna, księżyc panoszy się na niebie, w górze jest zupełnie jasno. Gwiazdy migają. Wielka Niedźwiedzica orientuje nas, gdzie jest nasz kraj i w jakim kierunku poleciały załogi zadać jeden z ciosów wrogowi. Jasno-popielate chmurki biegają po niebie. Księżyc igra z nimi. Chowa się w ich stada, to się znów wynurza.

Jest wojna na niebie, tylko znaczenie bliżej ziemi, po prostu na ziemi. Słyszymy oto odgłos silnika samolotu, a następnie dostrzegamy i ciemną jego sylwetkę, szybko płynącą na jaśniejszym tle nieba. Jest to samolot wroga. Szuka zapewne lotniska, ale czy znajdzie i rzuci swe bomby? W dole jest mrok gęsty, głębokie cienie przykrywają ziemię, mimo srebrnej poświaty księżyca, a przytym lotnisko jest świetnie zamaskowane, tak, że nawet w świetle dnia zlewa się zupełnie z otaczającym tłem, cóż dopiero w nocy.

Wrażу samolot ścigają reflektory i rzadkie pociski artyleryjskie. Gonią go, samolot przyśpiesza swą szybkość, ucieka. Mija lotnisko łapie go światło jednego z reflektorów i trzyma sekundę. Artyleria oddaje parę strzałów. Samolot wyśliznął się ze światła i poszedł dalej. Lotniska nie zauważył i bomb nie wyrzucił. Zapewne łatwiej odszukać nawet zaciemnione miasto, przy blasku księżyca, niezamaskowane i trafić w schronisko starców. Niesposób sparaliżować sił żywotnych Anglii, jest to nie tylko ponad siły i umiejętność lotnictwa wroga, lecz i całej jego siły i potęgi w ogóle.

Wracamy do kominka. Wreszcie około północy wraca pierwsza załoga, wkrótce druga i inne. Wszystkie załogi powróciły do swej bazy. Niektóre załogi idą wprost na spoczynek, po uprzednim zdaniu relacji, niektórzy chcą jeszcze ogrzać się i rozprężyć przy kominku. Napić się czegoś. Popijamy piwo.

—Naparzają?—pyta dowódca dywizjonu jednego z uczestników wyprawy.

—Dziś naparzają trochę więcej—pada krótka odpowiedź.

—Artylerię małokalibrową umieścili na statkach na morzu, tak, że ogień jest dokuczliwszy. Kiełbasek było dziś więcej.—

Pytam co to za "kiełbaski." Dowiaduję się, że tak nazywają pociski świetlne szybkostrzelnej artylerii małokalibrowej, które lecąc w powietrzu tworzą jakby długi sznur czerwonych świecidełek, kiełbasek, jak je lotnicy nazywają. Widać dokładnie z samolotu, jak się odrywają od ziemi przy rozpoczęciu ognia artyleryjskiego, a następnie, jak ostatnia "kiełbaska" chyżo oddala się od ziemi, gdy artyleria ogień zawiesza.

—Przyjemne jest uczucie—mówi jeden—na widok takiej ostatniej kiełbaski unoszącej się z ziemi, gdy zadanie się skończyło i jest się już po za zasięgiem ogn[illegible] a kiełbaska zostaje gdzieś [illegible] tyle.—

—Reflektorów dużo?—pyta dowódca.

—A dużo, łapało mnie coś około 30 świateł.—

—Zadanie?—

—Wykonane, wszystkie bomby wyrzucone.

Jesteśmy pewni, że wszystkie bomby są w celu.

Duch wśród lotnikow wyśmienity. Współżycie z Anglikami jak najlepsze. Stosunki ze społeczeństwem miejscowym bardzo dobre. Wszyscy bez wyjątku żołnierze zachowują się, jak na Polaków przystało, są honorowi, ambitni, cenieni przez wszystkich. Są czasem drobne nieporozumienia, na przykład było dawno t[illegible]mu jakieś zajście jednego z żołn[illegible] z Anglikiem. Naturalnie w t[illegible]m wypadku krewkość musi się wypowiedzieć z obu stron, szczególnie, jeśli obaj pałają sympatią do tej samej bohdanki. Zwykle w nieporozumieniu biorą czynny udział i przyjaciele z obu obozów. Tak było i w tym wypadku. Odbyło się jednak na płaszczyźnie sportowej i tak też ujęła to miejscowa prasa, opisując zajście pod tytułem: "5 do 1 na korzyść Polaków," w szpitalu bowiem znalazło się 5 Anglików i 1 Polak.

Rano zwiedzamy salę, w której lotnicy zapoznają się z celem do zbombardowania, następnie drugą, gdzie otrzymują inne szczegóły zadania, trzecią, w której odpoczywają bezpośrednio po locie i piszą sprawozdania z wykonanego lotu bojowego, posilając się przy tym kanapkami, kawą, czekoladą, mlekiem.

Zwiedzamy hangary, izbę chorych, ordynuje tu i lekarz polski. Wszędzie jest jasno, czysto, wszystko rzeczowo i z myślą urządzone.

Musimy jednak pożegnać się z tą miłą, zdrową atmosferą ludzi pracy i walki, które wyrabiają silne węzły koleżeństwa. Wypuszczają nas jednak dopiero po lunchu.

Jadąc dalej, spotykamy wszędzie w miastach, miasteczkach, na drogach ludzi z przyjaznym uśmiechem na twarzy, zapytywani—chętnie odpowiadają, na pożegnanie—kiwają nam przyjaźnie ręką. We wszystkich postaciach przebija doskonały spokój i opanowanie.

Krajobraz zmienia się, lecz wszędzie w ogólnych zarysach zbliżony jest i podobny do siebie. Orne pola, zielone łąki, a wszędzie drzewa, spotykamy i zagajniki. Oto mijamy przy drodze lasek ścięty, pnie drzew leżą pokotem, ledwie z gałęzi oczyszczone. Ładne, duże wysmukłe pnie sosen. Miejscami krajobraz przypomina krajobraz Polski.

Półkozic



Zdjęcie przedstawia dwu lotników polskich, z których jeden prezentuje proponowany polski odpowiednik popularnego w Anglii gestu przyjaźni, porozumienia, zachęty i ufności—" thumbs up."

Z życia obozów

Uroczystość na lotnisku

Kiedy wyjeżdżaliśmy za Londyn mgła leżała jeszcze na zakrętach niskich uliczek przedmieść i słońce błyszczało z poza chmur rozłażących się po niebie w zachodnim wietrze. Samochody generalskiej karawany posuwały się wolno. Metropolia po conocnym rajdzie, mniej hałaśliwym, niż zwykle, wracała ze schronów do domu, jechała do biur, rozwoziła tysiącem ciężarówek sto i jeden przedmiotów nieodzownych w nowoczesnym mieście. Chodnikami szły "wardenki" w niebieskich, szerokich spodniach z czarnymi hełmami zwisającymi z ramienia, żołnierze z okolicznej baterii przeciwlotniczej tłoczyli się w kawiarni.

Nowych szczerb nie widać było w mieście, ten lej to z ubiegłego poniedziałku, tu dom zawalił się od bomby we wtorek, objazd jeszcze zamknięty. Na dalekich przedmieściach prawie że nie ma śladów bombardowania. Jeden dom na sto ma wybite szyby, jeden na tysiąc leży w ruinach.

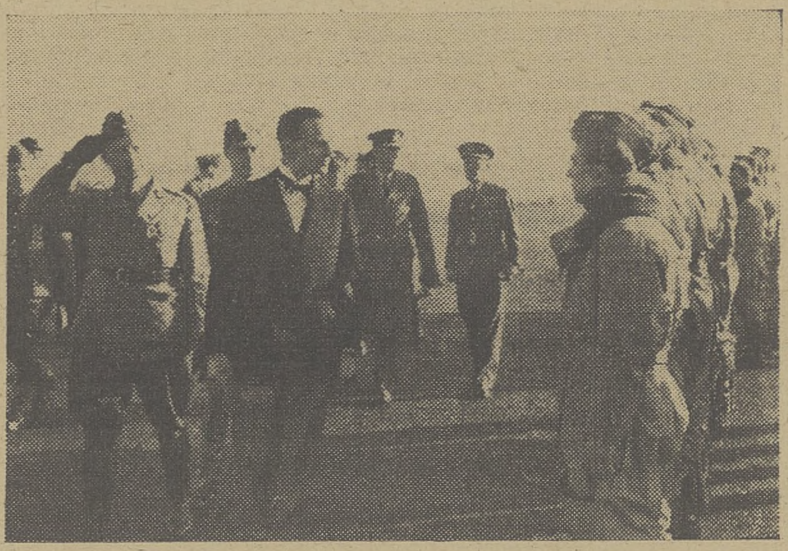
Wreszcie miasto pozostaje za nami, bokami drogi przelatują olbrzymie fabryki. Las kominów podchodzi pod horyzont. Chmury tymczasem rozpłynęły się w słońcu i mglisty poranek zamienił się w słoneczny dzień angielskiej jesieni. Samochody skręcają w boczną drogę.

[illegible]szcze dwa zakręty i nagle wy[illegible] za rogiem mały bastion obłożony workami z piaskiem. Przed bastionem dwóch żołnierzy R.A.F.'u prezentuje broń. Karawana zatrzymuje się na chwilę, ale dowódca posterunku nie sprawdza przepustek. Rzut oka do dużego, czarnego samochodu wystarczył. Twarz Generała Sikorskiego znana mu jest z tysięcy fotografii w prasie.

* * *

Jedno z większych lotnisk bojowych obrony Londynu jest bardzo trudne do rozpoznania z drogi. Hangary są tak ustawione, że nawet z odległości kilkuset kroków znikają poza banalnymi domkami mieszkalnymi. Samolotów też nie widać. Od wewnątrz, po przejechaniu pilnie strzeżonej bramy wszystko przedstawia się inaczej. Olbrzymia przestrzeń lotniska żyje i pracuje. Dziesiątki samolotów zalegają krańce lotniska, pomiędzy nimi kręci się mnóstwo niebieskich sylwetek.

Oddział lotnictwa prezentuje broń. Generał wysiada i odbiera raport. Jedziemy dalej. Za kompleksem hangarów na maszcie powiewa sztandar polski, o kilkanaście kroków czworobok naszych lotników. Generał przechodzi przed frontem w towarzystwie brytyjskiego ministra lotnictwa Sir Archibalda Sinclaira, Marszałków Powietrza Portala i Pierce'a, dowódców R.A.F.'u.



Minister Sinclair w towarzystwie generała Sikorskiego przechodzi przed frontem



Angielski Gość i Naczelny Wódz rozmawiają z lotnikami

Dzień dzisiejszy przeznaczony jest na ispekcję polskich eskadr przez Naczelnego Wodza. Po paru minutach inspekcja zamienia się w domową uroczystość. Wódz naczelny przedstawia oficerów Sir Archibaldowi. Marszałkowie swobodnie gawędzą z polskimi pilotami. Generał Sikorski troskliwie wypytuje szeregowców o warunki życia i pracy. Czy są zadowoleni, czy przychodzą listy z domu. Prosta żołnierska gawęda wodza z żołnierzem.

Opodal stoi wyciągnięta na baczność eskadra bombowa. Znów ta sama ceremonia jak najkrótsza i znów długa osobista rozmowa, troskliwa dbałość o każdy szczegół. Bombiarze podobnie jak myśliwcy nie tracą kontenansu przy Generale. Ostatecznie jest to zrozumiałe, z kim jak nie ze swoim Generałem mają oni mówić o wszystkim. Wśród oficerów widać starannie chowającego się przed fotografami młodego dowódcę jednej z eskadr wyśliwskich z dwoma wstążeczkami na piersi: Virtuti Militari i Distinguished Flying Cross. Na oko oficer nie może mieć więcej jak 30 lat a w linii, nad Londynem jest od miesiąca.

Na lotnisku alarm. Klucze myśliwców idą w górę. Na jasnym niebieskim tle nieba eskadry zataczają łuk w powietrzu nad lotniskiem i znikają w kierunku Londynu. Warkot samolotów staje się jednym przeciągłym dudnieniem niewidocznych już maszyn. W powietrzu unosi się trochę babiego lata, ale nastroje są wiosenne. W niebieskich oczach żołnierzy, w srebrnych szlifach generalskich odbija się słońce wiosny zwycięstwa.

Seweryn Korczak

Czołg i pióro

Zgodnie z utartym zdaniem żołnierz stroni od pióra. Przywiązując się głęboko do karabinu, uwielbiając swój czołg, troszcząc się o granaty lub benzynę, z pogardą zdawało by się odnosi do stalówki i atramentu. Rzeczywistość polska jednak—jak to już nie raz w innych wypadkach bywało—zadaje kłam rospowszechnionym mniemaniom. Wystarczy przyjrzeć się życiu polskich żołnierzy w Szkocji, by zakorzenione złudzenia o żołnierskim "piórowstręcie" pierzchły na zawsze. Przejdźmy się więc po polskim obozie, by zobaczyć tę rzeczywistość.

Wieczór. Dookoła panuje ponura ciemność. Wiatr wyje przeciągle, raz po raz dmie z potężną siłą w płachty namiotowe, jakby chciał porwać to jedyne schronienie wojaka. Zachodzę do pierwszego z brzegu namiotu. Obraz, jaki zastaję, zatrzymuje mię tuż w progu. Środek namiotu zajmuje ława, zwykła ława drewniana. Wokół niej siedzą na prymitywnych stołeczkach własnego wyrobu albo na pakach drewnianych lub zgoła nawet klęczą, ludzie, odziani w żołnierskie mundury. Świeca, zatknięta w butelkę, roztacza tajemniczy półmrok. Zdawać by się mogło, iż tu odbywa się jakieś tajemnicze misterium, przynajmniej dziwaczne zebranie "wtajemniczonych." Co robią ci ludzie z takim mozołem, co knują?—Wszyscy piszą.

Idę do drugiego i trzeciego namiotu. Ukazuje mi się obraz podobny, różnicę stanowi przeważnie tylko kształt ławy lub jej miejsce. Z pewnością nie ma namiotu, w którym by ktoś nie pisał.

Tu redaguje się wesołe, satyryczne pisemko. Tam znowu przelewa się na papier kłębiące myśli, poszukujące jakiegoś wielkiego rozwiązania. Tu piszą o praojczyźnie Słowian, tam satyrę na sierżanta-szefa lub o zgrozo! nawet na dowódcę kompanii. Tam swe źródło biorą lekkomyślne "Hocki Klocki," tu znów poważny, stateczny "Biuletyn Zachodnio-Słowiański." I nie ma na przestrzeni Szkocji takiego polskiego obozu, by raz na dzień nie ukazało się w nim jakieś pisemko bodaj jednostronicowe, a raz na tydzień "jednodniówka" wcale pokaźnej objętości.

W tej masie papieru zadrukowanego pismem maszynowym, czy hektografem czy roneo odbija się i odzwierciedla codzienne życie polskiego żołnierza w Szkocji, jego troski, nadzieje i wzloty. To papier cenny—pozwoli kiedyś zobrazować blaski i cienie żołnierskiego dnia.

Nie wszyscy jednak są redaktorami lub współpracownikami pism czy pisemek obozowych. A piszą prawie wszyscy, w każdym razie większość pisze. I piszą rzeczy podobne, lecz jakże różne.

Nachylam się nad starszym strzelcem z cenzusem, ongiś nauczycielem w cichej wsi polskiej. Dyskretnie zaglądam do jego zeszytu. Dobrą chwilę zastanawiam się, wreszcie chwytam; ex-nauczyciel prowadzi dziennik, w którym opisuje z dnia na dzień swe wrażenia i przeżycia. W innym namiocie zapytuję piszącego strzelca, przed wojną robotnika rolnego, czego się uczy. Nieco zawstydzony tłumaczy, iż spisuje to wszystko, co widział od początku wojny: życie w Rumunii, Francji, Szkocji. Domyślam się szybko—pisze swój pamiętnik. Dalej zawodowy sierżant pokazuje mi luźne kartki, na których widnieją tytuły "wspomnienia z pobytu w obozie na Węgrzech," "ewakuacja z Francji," "pierwsze dni w Szkocji."

Teraz już wszystko rozumiem. Idę jednak do dalszych namiotów. Podchorąży, dawny lwowski adwokat, po dłuższych ceregielach prezentuje mi pokaźny blok notesowy, przewraca kartki, upstrzone datami i nazwami miejscowości; kapral, górnik z Francji, z dumą okazuje swój mizerny notesik z kartą tytułową "Narwik" i z rozrzewnieniem zwraca uwagę na kartkę zapisaną drobnym maczkiem: u góry widnieje wykonany ozdobnymi literami, których wypisanie na pewno sprawiło mu dużo trudu, napis: "Ankenes."

Odrywam się od namiotów, bo nie chcę się spóźnić na skromne przyjęcie, wydane na cześć bawiącego u nas zespołu teatru żołnierskiego. W trakcie herbaty st. ułan, który przed paru godzinami zabawiał żołnierzy podhalańskimi opowieściami, sławny już przed wojną artysta, wyjmuje ozdobny album i prosi, by się "wpisać." Album zawiera setki nazw miejscowości, setki zdań, związanych z różnymi momentami i wydarzeniami z życia jego posiadacza.

Wracam wreszcie do siebie. Jest już późno, a praca dnia następnego zaczyna się wcześnie. W namiocie zastaję swego kolegę, gońca komendy, niemłodego już człowieka. I on, choć strudzony całodzienną, ciężką bieganiną, siedzi i wpisuje coś z namaszczeniem do wielkiej księgi. Ta księga—to album, gdzie opisuje on całe swe dzieje, załączając również ciekawe wycinki z gazet, odezwy, ulotki. Wdaję się w rozmowę. Okazuje się że goniec 20 lat temu przebył wojnę bolszewicką, pisać i czytać nauczył się dopiero mając 16 lat, że przed wojną był niższym funkcjonariuszem jednej z większych państwowych instytucyj warszawskich. Obecnie jest starszym strzelcem i pełni funkcję gońca-łącznika. Jednego tylko nie może odżałować, że nie zapisywał swych przejść z 1920 roku.

Ten pęd żołnierzy polskich do pisania swych pamiętników, wspomnień czy dzienników jest zrozumiały, godny podziwu i pochwały, a nadto niezmiernie cenny.

A teraz pozwolę sobie na małą dygresję historyczną. Wbrew utartemu zdaniu żołnierze właśnie zawsze lubili się "parać" piórem, przynajmniej w Polsce. Niedużo naliczymy wodzów w Polsce, którzy nie zostawili swych pamiętników lub wspomnień. Z bardziej znanych bodaj nie pisał jeden—Czarniecki. Hetman Żółkiewski pozostawił po sobie uwagi z wojny moskiewskiej, Tarnowski w swych strategicznych rozważaniach opierał się na swych czynach wojennych, a przede wszystkiem Obertynie, Jan Henryk Dąbrowski opisywał swe legiony, Prądzyński pozostawił obszerne pamiętniki z wojny 1831 r., Piłsudski opisał bodajże większość swych działań, wreszcie nasz Wódz Naczelny jest autorem opracowania, opartego na własnych wspomnieniach i przeżyciach, o działaniach 5-ej armii w 1920 r., której był dowódcą.

Nie pisał pamiętników Jan III Sobieski, lecz jego listy do ukochanej "Marysieńki" pełne są obszernych wspomnień i relacji z działań, którym przewodził. Nie mamy pamiętników Kościuszki, lecz i on jeśli nie jest autorem, to w każdym bądź razie współautorem głośnej broszury, przypisywanej gen. Kniaziewiczowi, która dała zaczątek teorii polskiej wojny ludowej. Bo polscy rycerze nie tylko cenili wiedzę i nauki, nie tylko nie rozstawali się z książkami, jak Henryk Dąbrowski, któremu towarzyszyły we wszystkich pochodach i jakby w nagrodę za to w bitwie pod Novi "Historia wojny trzydziestoletniej," noszona na piersiach, zatrzymała kulę nieprzyjacielską, która miała go przebić—lecz i dużo pisali. Romantyczni uczestnicy ostatniego polskiego powstania, powstania styczniowego, pozostawili po sobie moc wspomnień. Do 5 tysięcy pamiętników i wspomnień powstańczych ukazało się drukiem, a zapewne tyleż pozostało na zawsze w rękopisie.

Pod znakiem Jana Chryzostoma Paska, którego pamiętniki są dla nas obrazem życia polskiego wojaka z w. XVII, żyją polskie obozy wojskowe w Szkocji. Dziwić się temu nie należy.

Żołnierz polski ma za sobą moc różnych przeżyć, poznał nowe kraje i narody, obce dla siebie, nieznane dotychczas stosunki i zwyczaje. Był świadkiem doniosłych zdarzeń, brał udział w walkach w Polsce, wymykał się z obozów węgierskich czy rumuńskich, walczył we Francji czy Norwegii, widział załamanie i upadek potężnej republiki francuskiej, stoi w obliczu cudownych zmagań Wielkiej Brytanii. Ten żołnierz polski czuje się pewnego rodzaju współtwórcą historii.

Wielkość i wielość doznanych wrażeń wywołuje z nieodpartą siłą konieczność wypowiedzenia się, choćby dla uprzytomnienia sobie i uzmysłowienia swych przeżyć. A najcierpliwszym tułaczem jest papier, toteż mnożą się pamiętniki i wspomnienia. Pisane są one bez względów ubocznych w pierwszym rzędzie dla siebie, dla swych najbliższych. Znaczenie ich jednak i wartość są pozaosobiste. Będą z całą pewnością stanowiły potężne źródło historyczne, wypełnią lukę, którą zawsze tworzą urzędowe dokumenty, zastąpią nieraz wyrwy, stworzone przez brak lub zniszczenie w ciężkich chwilach akt.

Nie powinno się więc nigdy zapominać, że skromny zeszyt, w którym żołnierz zapisuje swe przeżycia i zdarzenia, w których brał udział, jest nie tylko jego osobistą pamiątką, kiedyś stać się musi jednym z elementów wiedzy o polskim wojsku.

Edmund Oppman

Co piszą i myślą Polacy w Ameryce

WOJNA STAJE SIĘ DLA STANÓW ZJEDNOCZONYCH KONIECZNOŚCIĄ

W czasopismach, które nadeszły w ostatnich dniach z za oceanu, poprzód innych spraw wybija się reakcja Stanów na pakt osi z Japonią. Uświadomił on Ameryce ostatecznie, jak kolosalne niebezpieczeństwo zagraża jej ze strony światowego związku gangsterów. Trzeba przyznać, że reakcja jest zdrowa. Zamiast obaw, defetyzmu lub przygnębienia—obserwujemy nastrój bojowy, gigantyczną mobilizację przemysłu i niemal gotowość do wojny, tak niedawno jeszcze niepopularnej. Obywatele Stanów zdają się dostrzegać, że udział w konflikcie ich nie minie, i powoli z tą myślą zaczynają się oswajać.

Będzie to miało niewątpliwie wielkie znaczenie w zbliżających się wyborach prezydenckich. Jedyny argument, którym dotąd walczy Willkie—że w razie wybrania go Stany unikną wojny, do której rzekomo prze Roosevelt—straci zupełnie znaczenie z chwilą, kiedy Amerykanie ostatecznie uświadomią sobie, że tak czy inaczej do wojny już nie o interesy USA, ale wprost o *życie* Stanów dojść musi. Niewątpliwie wówczas nikła będzie ilość obywateli, którzy ster państwa w najkrytyczniejszej w dziejach Stanów chwili zdecydują się oddać w ręce mało znanego i niewypróbowanego politycznie adwokata z Nowego Yorku.

W tym szerzeniu świadomości, że wysiłek wojenny jest dla Stanów koniecznością nie do uniknięcia—przoduje amerykańska prasa polska. Odzwierciadla ona dokładnie opinię całej Polonii, która gotowa jest do podjęcia walki i do złożenia ofiar. Dają tego dowody Polacy ze Stanów nie tylko masowo wstępując na ochotnika do armii amerykańskiej, ale domagając się natarczywie otwarcia zaciągu ochotniczego do wojska polskiego w Anglii.

O ZACIĄG DO LOTNICTWA W KANADZIE

Niedawno jedno z większych pism codziennych w Stanach, "Wiadomości Codzienne" z Cleveland, zamieściło następujące zapytanie pod adresem Rady Polonii amerykańskiej:

"Czy młodzież polska, zamieszkała w Stanach Zjednoczonych, mogła by w znacznych ilościach, drogą zorganizowanego ruchu ochotniczego, zaciągnąć się do lotnictwa w Kanadzie?

Czy kilka tysięcy dobrze wyszkolonych lotników Polaków, walczących po stronie Anglii, nie przyśpieszyło by odzyskania niepodległości naszej Ojczyzny?

Niechże Rada Polonii na to pytanie odpowie. Niech odpowiedzą na nie wielkie polskie organizacje. Pytania tego nie powinny zostawić bez odpowiedzi."

Jest to tylko jedno z wielu wezwań Polonii amerykańskiej pod adresem polskich czynników kierowniczych, aby wyzyskały materiał ludzki, którego rezerwoar stanowi emigracja, oraz aby wyzyskały zapał, jaki krzywdy kraju, i bohaterstwo żołnierza polskiego, a zwłaszcza czyny polskich lotników w Anglii wzbudziły śród naszych rodaków za oceanem.

TAJEMNICZY LOTNIK HOLENDERSKI—POLAKIEM

A zainteresowanie naszych rodaków sukcesami polskiego lotnictwa wzmaga się z każdym dniem. Dzienniki pełne są kablogramów o wyczynach eskadry 303, o przygotowaniach do działania polskich eskadr bombowych, o opiniach władz angielskich i prasy angielskiej na temat lotnictwa polskiego.

"Dziennik dla Wszystkich" w numerze z końca września podaje sensacyjny artykuł o pilocie polskim Stanisławie Zakrzewskim, p.t. "Bohaterski lotnik polski noc w noc napada na Niemców zadając im ciężkie straty." W artykule tym znajdujemy opis wyczynów lotnika, który co noc bombarduje niemieckie koncentracje w Holandii, uprzedzając zarazem przy pomocy zrzucanych ulotek ludność holenderską o tym, gdzie zamierza rzucić bomby następnym razem.

Opowieść znana nam z prasy angielskiej, która w swoim czasie dość obszernie o tym samotnym lotniku pisała. Sensacja jednak artykułu amerykańskiego polega na tym, iż podaje jakoby owym "latającym Holendrem" miał być lotnik polski Zakrzewski, który "był komendantem jednej z eskadr lotniczych podczas najazdu wrześniowego, zdołał się wydostać i przybywszy do Anglii, ofiarował swe usługi do walki ze znienawidzonym wrogiem." O jego czynach "krążą całe legendy zarówno w armii niemieckiej, jak i angielskiej, a Niemcy mieli na jego głowę nałożyć cenę." "Zakrzewski — pisze "Dziennik" — mści się za Polskę, ale zarazem za zamordowanie całej swojej rodziny podczas najazdu hitlerowskiego na Polskę;—skoro ten nowoczesny Robin Hood dowie się, że jakieś oddziały, które były w Polsce podczas najazdu w Polsce znajdują się np. w Norwegii—zaraz tam kieruje swój bombowiec typu Blenheim, ze znakami polskimi i angielskimi na skrzydłach—i płaci krwawo za krzywdy Ojczyzny i rodziny."

Nie wiem, ile jest prawdy w tej romantycznej opowieści—wiedzą to nasi lotnicy—ale warto ją zanotować jako charakterystyczny objaw zainteresowania, jakie Polacy amerykańscy okazują czynom naszych pilotów.

"POLSKA JEST DUSZĄ NASZEJ SPRAWY"

Cała prasa emigracyjna cytuje i komentuje artykuł Garwina, znanego angielskiego publicysty p.t. "Poland is the Soul of our Cause." Warto przytoczyć ustęp tego artykułu: "Jeżeli pragniemy przytoczyć dowód, iż walka Aliantów z Niemcami jest walką sprawiedliwości z nieludzką krzywdą—to powinniśmy wskazać na los Polski. Gdyby ta zbrodnia miała pozostać nienaprawiona, gdyby najeźdźca nie został ukarany—należało by w ogóle zwątpić w przyszłość ludzkości. Stopniowo, jak poszczególne fakty wydostają się na światło dzienne, wstrząsnąć muszą co raz więcej sumieniem ludzkości. Ostatnie miesiące okupacji niemieckiej w Polsce są przykładem takiego znieważania, ciemiężenia i niszczenia wszystkiego, iż nie mają sobie równego okresu w historii. Hitler dąży do zniszczenia całego wielkiego i sławnego narodu. Polska—jest duszą naszej sprawy."

SZWAJCAR O ŻOŁNIERZACH POLSKICH

"Nowiny Polskie" (Milwaukee) przynoszą dalszą garść szczegółów o naszych żołnierzach internowanych w Szwajcarii. Tym razem w przedruku felietonu literackiego, ogłoszonego w "Neue Züricher Ztg." Oto ciekawsze wyjątki:

"Wioski i miasteczka wielu okolic naszego kraju zatętniły ostatnio nowym życiem. W zajazdach, w chatach, w stodołach, osiedlili się mężczyźni w obcych mundurach. W niedzielne popołudnie siedzą długimi szeregami na skraju dróg, jak drzewa wyrwane z rodzimego korzeniska. Tęskne spojrzenie zatrzymują na każdym przejeżdżającym pojeździe, na każdym pociągu. Zapewne z podświadomym uczuciem, że jedna z tych kolei przyniesie im pewnego dnia radosną nowinę. . . . Żołnierze ci są ludźmi, jak inni. W domu byli parobkami, robotnikami, fryzjerami, kupcami, urzędnikami, lekarzami. Wykwitają śród nich, tak jak pomiędzy nami, różne porosty: Szlachetność i pospolitość, krzepkość i słabość, przystępność i szorstkość.

Jest jednak coś szczególnego w tych ludziach, co poza ich obcym mundurem i potrzebą naszej pomocy, pobudza nas do tego, że witamy ich tak serdecznie i obdarowywujemy tak szczodrze—podczas gdy dla swoich nie zawsze mamy tyle ciepłych słów.

Jest coś, co uszlachetnia tych ludzi w naszych oczach: jest to jątrząca rana, która pali ich wszystkich; ból z powodu pokonania i rozbicia Ojczyzny. Ból ten odzywa się głośno w osłoniętych nocą godzinach—w marzeniach sennych, pełnych trwożliwego przeczucia. Do głębi istoty przenika myśl o kraju ojczystym—ze wszystkimi jego zagadkami, ze zniszczonymi miastami i wioskami w zgliszczach."

Jerzy Pomian

Komunikat "Światpolu"

Światowy Związek Polaków z Zagranicy prosi osoby zwracające się o pośrednictwo w odszukaniu im rodzin i znajomych w skupieniach polskich w Kanadzie, USA, Brazylii, Argentynie, Urugwaju, Australii i innych skupieniach naszych rodaków, by podawały w miarę możliwości:

1/ Imię i nazwisko poszukiwanego,

2/ Przybliżoną datę wyjazdu z Polski,

3/ Przypuszczalny zawód,

4/ Ostatnie wiadome miejsce zamieszkania,

5/ Ostatnie miejsce zamieszkania w Polsce,

6/ Wszelkie inne wiadome szczegóły o danej osobie, które pozwolą ją zidentyfikować.

Światowy Związek może również dostarczyć potrzebującym adresów niektórych pism polskich za Oceanem. W tym wypadku jednak Światpol prosi o podanie celu, do jakiego adresy są potrzebne.

Listy do Światowego Związku Polaków z Zagranicy kierować należy na adres: Światowy Związek Polaków z Zagranicy World League of Poles Abroad, London, S.W.7, 55, Princes Gate.

Odpowiedzi w sprawie poszukiwania rodzin od organizacji polskich za granicą, oczekiwać należy najwcześniej po 2—3 miesiącach.

Redakcja "Polski Walczącej" prosi p. Tadeusza Borowego o podanie adresu.

Wezwanie do harcerzy

I Londyńska Drużyna Harcerzy im. gen. J. Sułkowskiego (W.5 Queen's Walk, University College Hall) pragnąc utrzymać żywą łączność ze wszystkimi harcerzami na terenie Anglii, z dniem 1 listopada wydawać będzie biuletyn harcerski.

Wszyscy harcerze pragnący otrzymywać biuletyn proszeni są o przysłanie swych adresów i—jeśli kieszeń na to pozwoli, parę pensów w znaczkach pocztowych na pokrycie kosztów. Materiały i dezyderaty mile widziane. Nie każcie się prosić!

Sztychem

NEUTRALNY

Ktoś kiedyś nie chciał znać broni palnej,
bo to—powiada—jestem neutralny.
Wówczas sąsiedzi, którzy broń mieli,
w samą neutralność tak go palnęli,
że teraz chodzi, jak nędzna zmora,
i słucha pana gubernatora.

OŚ I WYRAZ POCHODNY

Każdy, kto prosi
o przyjaźń osi,
tego się wreszcie
od niej doprosi,
że choć by potem
płakał i prosił,
oś będzie osią,
on będzie—osioł.

Antyk

Przegląd polityczny

Ateny, Patras, Korfu, Korynt. . . . Nazwy, które w każdym kulturalnym Europejczyku wywołują wspomnienia, złączone z dziejami najwyższych wzlotów myśli ludzkiej. W ostatnim tygodniu, te wszystkie miasta, należące do skarbnicy nie tylko Grecji, ale całego cywilizowanego świata — *były bombardowane przez lotnictwo faszystowskie.*

W swych "Listach z podróży" pisał Sienkiewicz, *że brak niepodległości Grecji był czymś, czego nie mogło znieść sumienie europejskie.* Dlatego zagrzmiały działa pod Novarinem, dlatego za wolność Grecji walczył i ginął Byron. "*Wolność Grecji*—pisał autor "Krzyżaków"—*to spłata długu, który zaciągnięto wobec Hellady.*" Zdanie wielkiego pisarza podziela każdy prawdziwy Europejczyk. Natomiast inaczej zapatrują się na tę sprawę barbarzyńcy totalni. Radio Mussoliniego nadawało reportaż z nalotu—na Ateny. "Jesteśmy—mówił nowożytny troglodyta z eskadry włoskiej—nad starożytnym Akropolem. Za chwilę rzucimy bomby na miasto." Należało by uwiecznić tę audycję na płytach, aby przyszła Europa wiedziała, do jakiego zwyrodnienia może doprowadzić źle pojęty nacjonalizm i rzadkie ogłupienie bardzo skądinąd kulturalnego społeczeństwa.

Wojna włosko-grecka miała być wojną "błyskawiczną," wzorowaną na dotychczasowych kampaniach niemieckich. "Za kilka dni—głosiła prasa włoska—nasze wspaniałe dywizje motorowe wejdą do Aten, które już dzisiaj znalazły się pod obstrzałem niezrównanych lotników faszystowskich." Tymczasem oddziały włoskie są w chwili, kiedy piszemy te słowa, bardzo daleko od Aten. Co więcej. *Malutka armia grecka odniosła poważne sukcesy w Epirze i weszła nawet do Albanii.* Anglicy wylądowali w Grecji. Flota brytyjska znalazła nową bazę na Krecie. Słowem: dotychczasowy przebieg kampanii wygląda zupełnie inaczej, jak to sobie wyobrażały "czarne koszule" i jeszcze czarniejsze charaktery.

Tym bardziej, że Turcja zbroi się gwałtownie, a jej premier jeszcze raz podkreślił, iż "*wszelkie obowiązki sojusznicze Turcji względem W Brytanii zostaną wypełnione.*" Wojna we wschodniej części basenu śródziemnomorskiego może przybrać bardzo dla Włoch niepokojące rozmiary.

Piszemy "Włoch" a czytamy "faszyzmu włoskiego." Albowiem reakcja społeczeństwa mającego wielkie tradycje i zdającego sobie sprawę z potworności, popełnianych przez oszalałą dyktaturę zaznacza się co raz silniej. Niepowodzenia włoskie i w Egipcie i w Grecji, brak aktywności floty, słaba działalność lotnicza—to wszystko, wobec tej olbrzymiej przewagi materialnej, jaką posiada Hitler są fakty godne zastanowienia. Nie mamy dokładnych wiadomości z półwyspu apenińskiego, ale zdaje się, że z tym "wspaniałym duchem ofensywnym Italii," na którego temat tak często wygłupia się radio włoskie—jest coś nie w porządku.

Inni zwolennicy "współpracy z Trzecią Rzeszą" znajdują się w nielepszej sytuacji. Mamy na myśli pewnych polityków francuskich z Lavalem na czele. *Okazuje się raz jeszcze, że naśladowanie wzorów nazistowskich powoduje zwyrodnienie nacjonalizmu i jest najlepszym podłożem do wylęgarni zdrajców prawdziwej idei narodowej.* Wystarczy słuchać audycyj z Paryża lub nawet z nieokupowanego Lyonu, aby się o tym przekonać. Jest to nieustanna apologia ludzi, którzy odegrali w Trzeciej Republice rolę "piątej komuny," a teraz mówią z entuzjazmem o nowym porządku europejskim, jaki dla Francuzów zaczął się od rezygnacji z Alzacji i Lotaryngii, z Indochin, z Tunisu.

Ale jeżeli są w Vichy ludzie, którzy łudzą się, że te ustępstwa będą końcem żądań niemiecko-włoskich to się grubo mylą. Włoska agencja Stefaniego przypomniała, iż "wszystkie posunięcia Hitlera zostały najzupełniej uzgodnione z Mussolinim" i że "*Włochy prędzej czy później otrzymają te ziemie, do których mają prawo historyczne, geograficzne oraz prawo nabyte w obecnej wojnie.*" Innymi słowy: można, ze względu na wojnę z Anglią, zawrzeć z Pétainem pokój, nawet na "skromnych warunkach," ale prędzej czy później zabierze się Francji Sabaudię, Niceę, a może nawet Prowancję razem z Marsylią, nie mówiąc już o Korsyce i koloniach. Interes, robiony na hańbie własnego narodu—okaże się bardzo a bardzo nietrwały.

Ciekawe nowalie idą z Dalekiego Wschodu. Zamiast "pierwszych sukcesów przymierza Japonii z Niemcami" mamy bardzo interesujące zwycięstwa Chińczyków nad generałami Mikada. Atak Japonii na Chiny przyrównywaliśmy do uderzenia w wielki gar z klejem: *rozbito pokrywę, ale teraz wyciąga się zaborczą łapę niezdolną do ruchu i silnie pokrwawioną.* Japończycy mieli tanki, samoloty i gazy, w ogóle kolosalną przewagę techniczną. Chińczycy mieli za sobą przestrzeń, i co raz to silniej budzące się poczucie nienawiści do najeźdców. Rezultat taki, że po trzech latach wojny, Chiny przeszły z defensywy do ofensywy i w przeciągu jednego miesiąca odebrali to, co Japonia zdobywała przez kilka lat. Według ostatnich doniesień, wojska chińskie znajdują się już w okolicach Kantonu. Czang—Kai—Czek zorganizował chińską produkcję wojskową, ponadto znowu idą transporty przez niedawno otwartą "drogę birmańską."

Sytuacja Japonii staje się co raz bardziej przykra, tym bardziej, że Kanada odmówiła transportu miedzi a Stany Zjednoczone nałożyły embargo na naftę, wysyłaną do Japonii. Rządząca krajem soldateska przygotowuje wprawdzie nowe bazy w Indochinach, aby szachować zarówno angielski Singapur, jak i holenderskie Indie, lecz jak będzie wyglądało prowadzenie wojny z Anglią i ze Stanami bez nafty i miedzi—to jest już specjalną tajemnicą dyktatorów japońskich. *W każdym razie jesteśmy świadkami wspólności interesów Chin z Anglią i Ameryką, która może bardzo łatwo przemienić się nawet w bardzo ścisły sojusz.* Może dlatego rząd w Tokio podjął znów przerwane rozmowy z rządem holenderskim i depesze japońskie mówią co raz to częściej o "odprężeniu."

Niewątpliwie poważnym argumentem są tutaj ogromne zbrojenia amerykańskie i pomoc, którą Stany Zjednoczone okazują W Brytanii. Niedawno Rooswelt oświadczył, *iż liczba samolotów, które mają być w najbliższym czasie dostarczone Anglii, wzrośnie z* 12.000 (*uprzednio zamówionych*) *do* 26.000 *aparatów.* A produkcja dla armii amerykańskiej przybiera na prawdę zupełnie amerykańskie tempo.

"*Dzień i noc*—mówił Roosevelt—*pracujemy nad tym, aby nasza roczna produkcja samolotów bojowych doszła do liczby 50.000. Zbliżamy się bardzo szybko do urzeczywistnienia tego programu.* Na każdym polu idziemy na przód—i idziemy bardzo szybko."

Tak więc, horyzont polityczny, silnie zachmurzony w czerwcu zaczyna się co raz to bardziej przecierać w listopadzie. A wbrew wszelkim zasadom meteorologii, mgła wisząca od pewnego czasu nad Londynem wcale temu nie przeszkadza. Przeciwnie, pomaga nawet bardzo wydatnie. Naloty niemieckie na Londyn straciły na sile, podczas gdy ataki R.A.F.-u nie uroniły nic ze swego natężenia. Cały Berlin siedzi w schronach—i trzy czwarte ludności stolicy Niemiec cierpi na "hiszpankę." Złośliwi twierdzą, że to jedyny prezent, jaki przywiózł Hitler z nad granicy gen. Franco. W Madrycie zmniejszyła się gorączka totalna, i nawet Sunner, zaciekły germanofil, twierdzi, że "Hiszpania dowiedzie, iż jej głównym celem jest pokojowe współżycie ze wszystkimi narodami." Ano, zobaczymy.

tk

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY SZTABU NACZELNEGO WODZA.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel.,HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przymuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: Pierwsza strona—1 cal przez jeden łam—sh.13 4d. Pozostałe strony—1 cal przez jeden łam—sh.6 4d. Drobne ogłoszenia—1 cal przez jeden łam—sh.5, pół cala przez 1 łam —sh.2 6d.

Adres Administracji (Business Offices): 5, Portugal Street, W.C.2. Tel. HOLborn 7600. I-e piętro. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel. MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press, Portugal St., Strand, W.C.2.